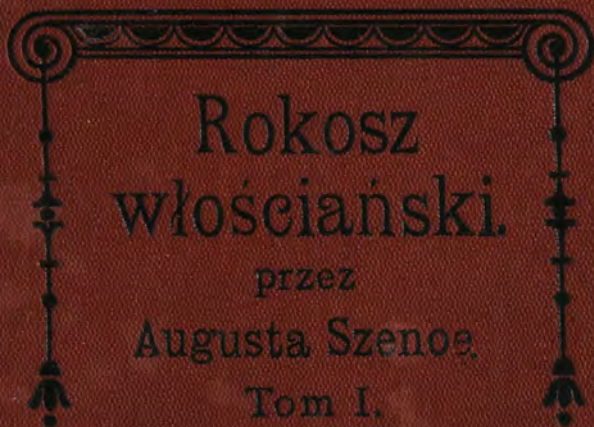




BIBLIOTEKA  
RODZINNA.



Rokosz  
włosciański.  
przez  
Augusta Szenoe.  
Tom I.



# BIBLIOTEKA RODZINNA

Ze  
zbioru  
książek

LIBBIS  
494



EX LIBRIS  
Presp. St.

Nakładem podpisanej księgarni wychodzi pod tytułem

## „Biblioteka Rodzinna“

(Redaktor odpowiedzialny Franciszek Bondy)

wybór najlepszych nowoczesnych romansów i powieści wszystkich narodów z szczególném uwzględnieniem **słowiańskich**, w tomach formatu ósemki, obejmujących 8—10 arkuszy druku.

Co 15 dni wyjdzie jeden tom. Cena każdego tomu w eleganckiej oprawie wynosi tylko

**50 centów = 85 fenigów = 45 kopijek.**

Rozpoczynamy wydawnictwo nasze głównie w tym celu, ażeby przysłużyć się Szanownej Publiczności polskiej; mianowicie pragniemy tysiącom czytelników, którzy chętnie kupują książki i są miłośnikami znakomitych utworów najnowszej literatury beletrystycznej, najstreczyć łatwą sposobność nie tylko do ich czytania, ale oraz do nabycia **po niesłychanie niskiej cenie**, bo wynoszącej zaledwie tyle, ile dawniej sama oprawa książki kosztowała, pominąwszy już to, że nawet cena nieoprawnego tomu wynosiła nieraz cztery lub pięć razy więcej, niż cała kwota, za jaką my oprawny już tom „Biblioteki rodzinnej“ ofiarujemy.

Zamiast więc czytać brudne i szkodliwe zdrowiu książki, wypożyczane z czytelni publicznych, będzie mógł

na przyszłość każdy za cenę stosunkowo niższą, niż **prze-  
ciężna należytość za wypożyczenie książek z czyteln,**  
nabywać na własność i najciekawsze romanse  
wszelkich narodów, w pięknej, prawdziwie ozdorbnej oprawie,  
i tym sposobem założyć sobie powoli własną bibliotekę.

W jednym, a najwięcej w dwóch lub trzech tomach  
będzie każdy romans zupełnie ukończony, a przeto odpadnie  
owo nieprzyjemne, a używane zwykle przy podobnych wy-  
dawnictwach rozrywanie powieści na „dalsze ciągi“.

Nie będziemy szczeni ani trudów ani też kosztów,  
ażebv „Biblioteka rodzinna“ przynosiła tylko dzieła naju-  
lubieńszych i najslawniejszych pisarzy, **nie zaś stare  
książki w świeżym przedruku,** i rozpoczynamy pierwszy  
nasz rocznik najnowszym utworem sławnego angielskiego  
powieściopisarza H. Rider-Haggarda, pod tytułem:

## „Testament pana Meesona“.

Spodziewamy się przeto, że przedsiębiorstwo nasze,  
podjęte w dobrej wierze, znajdzie u Szanownej Publiczności  
polskiej życzliwe przyjęcie i poparcie.

Z najgłębszem poważaniem

Wydawca „Biblioteki Rodzinnej“

**Franciszek Bondy**

księgarz

we Wiedniu, I. Annagasse 11.

# Rokosz włocściański.

---

Kroacka powieść historyczna z XVI. wieku

przez

**Augusta Szenoę.**

Przełożył

**Fr. Waligórski.**

---

**CZĘŚĆ PIERWSZA.**



**Wiedeń.**

Nakładca Franciszek Bondy.

I. ul. św. Anny 11.



Czcionkami W. Steina w Wiedniu.

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA**  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-68

15.699/

<http://rcin.org.pl>



## I.

Było to po południu pod koniec miesiąca lutego r. 1564. Śniegi na górach topniały już od gorących promieni słońca; Sawa, zasilona górskimi potokami, huczała strasznie w swoim łożysku i rozlewała szeroko swoje wody po równinie pod Susjedgrodem.

U wysokiego okna niewielkiej komnaty zamkowej siedziała niemłoda już, ale krzepka niewiasta czarno ubrana. Gdyby nie przyczesane na skroniach siwe już włosy, i gdyby nie szfarki czarnego czepka, okalające po-  
zółkłą jej twarz, byłoby mógł wydać się komu, że to męskie, ogolone oblicze. Twarz niewiasty była duża, szczęki silne, nos długi i zagięty nad szerokimi ustami, wargi blade i wąskie, rudawe brwi gęste i łukowate, a z pod nich wyzierało na świat, jakby dwie zagadki, dwoje małych, bladoniebieskich, poważnych oczu, z których naprózno siliłbyś się wyczytać, jakie uczucia poruszają serce i jakie myśli snują się po głowie. Zmarszczki pod oczyma, na twarzy i koło ust świadczyły, że straszne namiętności wrzały niegdyś w tém sercu.

Teraz jednak wyglądała ta kobieta jakby skamieniała; na twarzy jęj nie było ani śladu niewieścij tkliwościi, i można było wyczytać na nięj tylko niezłomną wolę i niezachwianą odwagę. Silna, zawiędła jęj postać odziana była w fałdzistą szatę z czarnego sukna, wyszywaną czarnym jedwabiem. Dokoła pasa wił się ciężki, srebrny łańcuch, na którym wisiał pęk wielkich kluczy. Twarde, suche palce niewiasty spoczywały na srebrnej skrzyneczce, która stała przed nią na stoliku. Przed chwilą spogłądała to na ogołocony z liści las, to na zalaną wodami równinę pod zamkiem, a potem spoczęły oczy jęj znowu na skrzyneczce. Naraz przemknął wzgardliwy uśmiech po jęj ustach, a palce jęj przycisnęły się silnie do skrzyneczki, jak gdyby w nięj lwica strzegła swoich młodych. W tęg chwili bowiem wszedł wielkimi drzwiami sługa i przebudził ją z zamyślenia. Niewiasta zwróciła nieco głowę na bok i zapytała chrypliwym głosem:

— Cóż tam Iwonie?

— Wybaczcie, wielmożna pani — odrzekł pokornie sługa. — W tęg chwili właśnie zajechał przed zamek jakiś człowiek, z mowy Madziar, a z powierzchowności szlachcic.

— Jak się nazywa? Skąd jest?

— Tego mi nie powiedział; kazał mi tylko oznajmić Waszęg Miłości, że przybył, ażeby rozmówić się z Wami o ważnych rzeczach.

— Madziar? Szlachcic? O ważnych rzeczach ma się rozmówić ze mną? A no, zobaczymy, co nam ten Madziar dobrego przynosi. Powiedz mu, iż może wejść do mnie. Ale posłuchajno! Zaprowadź konia jego pod



strzechę i daj mu do syta owsa i siana, aby nie rżał z głodu za tym przysmakiem kroackiego państwa. Idź!

Sługa odszedł z ukłonem, a za kilka chwil zabręczały ostrogi nieznanomego gościa na kamiennęj posadzce komnaty. Wszedł mąż wysoki, szczupły, o małej głowie i wygolonem, podłużném obliczu, które zdobiły tylko krótkie, do góry podkrecone wąsy. Pod długim, szarym płaszczem widać było kabat z brunatnego sukna, spięty na piersiach srebrnymi guzami w kształcie orzecha. Lewą rękę miał ukrytą pod płaszczem, a w prawej trzymał czapkę.

— Niech będą pochwaleni Jezus i Marya, wielmożna pani! — przemówił krótko i śmieie Madziar, kłaniając się.

Niewiasta zmierzyla go wzrokiem od stóp do głów, a po chwilce odrzekła łagodnie:

Na wieki wieków! Kto jesteście, panie? Od kogo jesteście? Co nam przynosicie?

— Jestem, miłościwa pani, Michał Palfy, szlachcic węgierski, a spotkało mię to szczęście, że przezemnie miłościwy mój pan, wielmożny książę Andrzej Batory, królewski sędzia, posyła pozdrowienie i pokłon wielmożnej krewnej swojej, Urszuli Heningowej.

— No proszę! Dzięki mu, dzięki — mówiła Urszula z uśmiechem, kiwając głową. — Jaki łaskaw dla mnie kochany mój pan krewny. Niech mu to Bóg odpłaci!... Usiądźcie sobie, panie Palfy; odłóżcie płaszcz i czapkę. Widzę, żeście wielce znużeni daleką drogą.

Gość uczynił, jak mu pani radziła, a potem dodał:

— Najprzód kazał mi mój wielmożny pan oświadczyć Wam, jak okropnie zabolalo go serce, gdy mu śmiercé

wydarła kochanego krewnego, Andrzeja Heninga, czcigodnego małżonka Waszego.

— Ejże, królewski pan sędzia, jak widzę, bardzo miłościw dla mnie, osierociałej wdowy. Nie zapomniał o nas przy tylu ważnych sprawach i w tak burzliwych czasach. No, no! W zeszłym roku, ośmnastego października opuścił przezacny pan Andrzej ten świat i mnie biedną sierotę, a to w najgorszym czasie. A mego kochanego krewnego boli dziś jeszcze szlachetne serce? Poczciwą ma on duszę; niech mu będzie cześć za to!... Powiedzcie mi jednak, egregie ac nobilis domine,\*) czy przebyliście tak daleką drogę dlatego tylko, ażeby mi przynieść łyż pożałowania od swojego pana? Czy nie polecił wam nie innego więcéj?

— Polecił, Wasza Miłości; pan sędzia królewski wysłał mię w sprawie Susjedgrodu i górnej Stubicy z poleceniem, czy nie dałoby się urządzić wygodniéj wspólnego gospodarstwa w obudwu tych posiadłościach.

— Cieszy mię, że pan Andrzej Batory przypomniał sobie o tem, choć cokolwiek zapóźno. Ale dobrze i tak. Jak tylko pochowałam nieboszczyka męża mego, wyprawiłam zaraz list do Andrzeja Batorego, prosząc go o pomoc, bo w rodach naszych krąży przecieź nieco téj saméj krwi, a Susjed i Stubica są i bez tego wspólnym majątkiem mojęj i jego rodziny. Pisałam potem kilka razy jeszcze, ale nie otrzymałam żadnéj odpowiedzi; aż wreszcie spełnił moje żądanie i przysłał mi... ale miasto pomocy tylko zmartwienie i niezgodę, przysłał mi jako

---

\*) Szanowny i szlachetny panie.

zarządcę Jerzego Świętosławskiego, który właściwie powinien zwać się Świętokradzkim. Szlachcie ten, który nie ma nawet pary wołów do zaprzęgu, tak się nadyma, że brat jego Szczepan jest kanonikiem zagrzebskim, jak gdyby posiadał wszystkie grody Zrińskich i herb Frankopanów. Od tego czasu, gdy spadł na Susjedgrad jak mucha do mleka, wielmoży się jak pan, ciska mi kamienie pod nogi i rządzi mi tu pod nosem, jak gdyby cały majątek był Batorogo i jak gdybym ja z moimi dziećmi żyła tu na łasce o cudzym chlebie i o cudzej wodzie.

— Wybaczcie, miłościwa pani — przerwał jęj cokolwiek niecierpliwie Madziar, któremu kazanie to wcale się nie podobało.

— Dozwólcie mi dokończyć, panie Pallfy — odparła ostro pani Urszula. — Najprzód wysłuchajcie wszystkiego, a potem sądzcie. Jerzy Świętosławski, to prawdziwy rozbójnik, a ma dwóch wiernych pomocników, Janka Horwata i Nikołę Gołubicza. Co chwila przychodzi do zamku jakiś biedny chłop, ażeby pożalić się przedemną, swoją zwierzchniczką i władczynią. Ze strzelbą i mieczem napada ta diabelska szajka spokojnych włościan i postępuje całkiem bezwzględnie. Jednemu z nich zburzyli młyn na Krapinie; drugiemu w Jakowli zabrali wszystkie żyto, a we wsi Targowinie uprowadził Świętosławski dozorey robotników dwie najlepsze krowy i zatrzymał je dla siebie. Wezwałam go do odpowiedzialności, grożąc, że inaczej użyję przemocy przeciw niemu; ale on naśmiewał się ze mnie, mówiąc, że baby się nie boi i że panami na zamku są Batorowie. Potem zabrał wszelką broń i proch i zamknął swoim kluczem, jak gdyby wszystko

nie było wspólną własnością. Wszelkie zyski i straty mają być wspólnie dzielone; ale jak się dzieje! Świętosławski oszukuje mię na zbożu, na sianie, na winie, a gdy mu robię wymówki, krzyczy śmiejąc się, że nie zna ani sądu, ani prawa, bo jego pan jest najwyższym sędzią i babski rozum sprzeciwić mu się nie może.

— Wierzajcie mi, miłościwa pani, — wpadł jęć w mowę Madziar — że się to nie dzieje za wolą mego wielmożnego pana.

— To nieprawda, panie Pallfy! — zawołała niewiasta, i oczy jęć zabłysnęły gniewnie. — To nieprawda! Mówiłam Wam, że wszystko wypisałam szczegółowo krownemu Andrzejowi, a Andrzej nie odpowiedział mi ani słówka; co więcj, ów bezbożnik Świętosławski pokazywał mi nawet list od niego, w którym Batory go pochwała i każe mu nie zważać na moje przedstawienia. Cóż powiecie na to, szanowny panie pośle? — krzyknęła Urszula i powstawszy nagle, zmierzyła Madziara takim wzrokiem, że pozostał na miejscu jak przybity i nie śmiał przemówić ani słowa. Ze mną — mówiła dalej Urszula — nie trudno jeść trześnie, jeżeli ktoś jest poczciwy; ale jeżeli mi kto za plecyma knuje intrygi, wtedy zapomina, iż jestem niewiastą, i wola moja silna jest, silniejsza, niż pana Batorego, owego pierwszego adwokata korony węgierskiej. Więc j niż sto lat zasiadają Heningowie na Susjedzie i Stubicy, więc j niż sto lat są oni tu gospodarzami. Spójrzycie na ów portret niewieści, który wisi nad kominkiem: to nieszczęśliwa Dora ze starego kroackiego rodu Arlandów, która wyszła za Andrzeja Heninga I. i przekazała Susjedgród i Stubicę swęj ro-

dzinic, a wnuczka jej, Katarzyna, matka mojego męża, zaślubiła pana Teuffenbacha, na którego imię i majątek Heningów zostały przeniesione. Niemało nacierpieliśmy się, ja i nieboszczyk mąż mój, i niemało kosztowało nas to pieniędzy, by odebrać Susjed i Stubicę drapieżnym magnatom, którzy fałszem i kłamstwem dolizywali się majątków, darowanych im przez króla Ferdynanda I. Szczęśliwie powiodło nam się wygnać z dziedzictwa pochlebce Hiszpana, don Pedra de Laza, srogiego biskupa Szymona Erdoedygo, luterskiego barona Jana Ungnada, jenerała Kocijanera, a gdy temu zdrajcy książę Mikołaj Zriński po sprawiedliwości łeb rozplątał, zagarnął nasz majątek fiskus królewski, z którego szpon wydarliśmy potem z wielką trudnością Susjed i Stubicę, musieliśmy jednak Żelin zostawić w drapieżnych rękach Bakaczów. Tyle wycierpieliśmy, tyle ponieśliśmy strat, siedmioro dzieci nosiłam pod sercem i nie mało trudów zaznałam, straciłam jedyne go syna, straciłam męża, a ze sześciu córek dopiero trzy wyszły za mąż; jestem ubogą wdową... a teraz nad gniazdem naszym krąży jastrząb i chciałby zgłębić mnie, nieszczęśliwą, opuszczoną niewiastę. Tego nie spodziewałam się po moim krewnym, pierwszym sędzi korony węgierskiej, po Andrzeju Batorym. Biada krajowi, gdzie prawo w takich spoczywa rękach! Napiszcie jednak, panie Pallfy, swojemu władcy, że zabiegi jego są daremne, napiszcie mu, że stara Heningowa ma głowę z kamienia, że Heningowa przejrzała wszystkie prawne dokumenta, które schowane są w tej srebrnej szkatule, że zna wszystkie wasze łacińskie kruczki, jak jaki prokurator państwa, i że jej nie wywieździecie w pole; powiedzcie mu, że jest

przy mnie trzech odważnych zięciów, Michał Konijski, Mateusz Kereczenij i Szczepan Gregorjaniec, syn podbana Ambrożego. Jeżeli Batoremu pozostanie jaka chwila wolna od walki z Turkami, niech się puści w zapasy z niewiastą, a i Urszula potrafi ugodzić niejednym pociskiem te krzywe wałki sędziowskie, gdyż jest ona córką Meknicera, wojewody granicarskiego. Ale poco nam tu rozprawiać? Już w zeszłym roku podałam dwie skargi. Jedną wniósł za mnie mój zięć, Michał Konijski w dniu Śgo. Marcina do bana Piotra Erdoedyego na Batorych, a drugą wysłałam własnoręcznie w dniu Śtej. Elżbiety do Jego Mości króla do Pożunia na Jerzego Świętosławskiego. Król zarządził już śledztwo. Najprzód więc rozpocznie się sprawa przed sądem, a potem, jeżeli będzie potrzeba, to i strzelba przemówi.

Szlachcicowi Pallfyemu było dziwnie na sercu, gdy się posypał na jego głowę taki grad wyrzutów z ust Heningowój. Przerażony wytrzeszczył oczy na tę szczególną niewiastę, która z rozplamionem obliczem i pałającym wzrokiem chodziła spieszenie tam i napowrót po komnacie, gdzie w tej chwili nie było słyhać prawie nic innego, tylko odgłos jej obcasów, stukających o kamienną posadzkę, i ciężki oddech jej wzburzonych piersi. Po chwili opamiętał się nieco Madziar.

— Miłościwa pani, — ozwał się — żałuję serdecznie, że mimowolnie stałem się przyczyną takiego rozdrażnienia. Macie słusność, pani; jesteście wdową, jesteście matką. Krzywda Was boli, i inaczej być nie może. Wyrzekliście słowa ciężkie, groźne, wyliczyliście wielkie bezprawia, a ja pojmuję szlachetny wasz gniew

i nie wątpię o tych bezprawiach. Mój miłościwy pan wyjaśnił mi dokładnie, skąd pochodzi i czyje jest prawo do Susjedu i Stubicy. Wszystkie te jednak krzywdy, jakich tu doznaliście, nie mogą być liczone na karb memu wielmożnemu panu, ale raczej złym doradcom, których tyle się namnożyło w tém królestwie po nieszczęsnej klęsce pod Mohaczem; a przecież przyznaje i żałuje pan sędzia królewski, że zapewne cokolwiek zawinił, ale nie tyle ze złego serca, ile raczej przez porywczosć w tych burzliwych i niebezpiecznych czasach, i przez złe postępowanie niegodnych sług swoich. Ubolewa on téż nad tem i pragnie szczerze naprawić wszystko, jak się przynależy. Ja jestem tedy posłańcem zgody i pokoju i upraszam Was, szlachetna pani, bądźcie raczyli posłuchać mię przez chwilę spokojnie.

Tu umilkł Pallfy i czekał, co odpowie pani Urszula.

— Mówcież krótko a zwięźle! — odrzekła niewiasta, nie spojrzawszy nawet na Madziara; potem skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła przez okno na równinę.

Madziar zaczął:

— Dobra, o które chodzi teraz, t. j. Susjed i górna Stubica, są wielkie i urodzajne. Od wsi Stenjewca rozciągają się aż ku granicom styryjskim, a od Stupniku aż niedaleko Bystrzycy. Są tu orne pola, łąki, winogrody, lasy, pastwiska, dwory, domki, młyny, dwa warowne zamki i mnogo silnych i dzielnych chłopów. Nie dziw przeto, że ten lub ów łakomi się na te dobra, ale nie podlega żadnej wątpliwości, kto ma prawo do nich. Podług następstwa przypada połowa rodzinie Heningów,

a połowa rodzinie Batorych, ponieważ nieboszczka pani Katarzyna jest z domu Rozgonijską, a matka pana sędziego królewskiego była spowinowacana z Heningami. Ale niezawodnie zostało prawo to przemocą naruszone, jakieście to sami wyrzekli, w owych nieszczęśliwych czasach, kiedy Ferdynand Habsburgski i Jan Zapolski ubijali się o koronę węgierską, a gdy nadto i Turek w kraju tym gospodarował. Trudno w takich czasach obronić i najszlachetniejsze nawet prawo. Gdy który władca zapragnie nową koronę, to przedewszystkiem stara się o to, ażeby zjednać sobie jak najwięcej silnych stronników, i wtedy na ich korzyść, a dla własnego zysku wydiera wbrew ustawom niejedną kartę z księgi sprawiedliwości. Śród takich zaburzeń stronnicych nie zważa on wcale na to, jakie jest prawo, lecz trzyma się tylko zasady: „Daję, abyś dał“. Mój pan przyłączył się do Ferdynanda, a także i nieboszczyk pan Andrzej Hening, czyli jak się zwał podług rodu swego Teuffenbach, co jest właściwszem, ponieważ był pochodzenia niemieckiego. Ale król Ferdynand nadał te dobra najprzód swemu koniuszemu, czemu nie trzeba dziwić się wcale. Hiszpan, co się tyczy języka, jest skończoną dobrocią i ciągle przebywa przy królu. Potem dał je Szymonowi Erdoediemu, biskupowi zagrzebskiemu; a i temu nie ma się co dziwić. Ród Erdoedich jest zamożny, silny i odważny, a mało który z nich był tak dzielny i niezłomny, jak właśnie zmarły biskup Szymon, jeden z pierwszych filarów Jana Zapolskiego w Kroacyi, i Ferdynand byłby mu dał więcej jeszcze niż Susjedgród i Stubicę, byle tylko przeciągnąć go na stronę habsburgską. O jenerale Kocijanerze mniemano,



że jest dość silnym i chytrym, by wygnać Turków z kraju, dopokąd się nie wykryło, że Turcy go przekupili. Otóż wszędzie pytano się głównie o to, kto sprzyja nowemu władcy, nigdy zaś, kto ma większe prawa. Nareszcie udało się znowu Batorym i Heningom pokonać wszystkich nieprawnych właścicieli. W r. 1559 zatwierdził król Ferdynand w Lincu rodziny Batorówych i Heningów w posiadaniu dóbr Susjedu i Stubicy.

— Tak jest — dodała pani Urszula, kiwnąwszy nieco głową — zapewniając każdej rodzinie połowę dochodu z nich, a to zarówno potomstwu męskiemu jak i żeńskiemu.

— Ale kto wymógł to prawo?

— I Batorowie i mój nieboszczyk pan również.

— Tak jest, — odpowiedział Pallfy — i Batory i Andrzej Hening zanieśli prośbę do króla. Ale że wasze prawo zwyciężyło, nie bierzcie mi za złe, miłościwa pani, że powiem to otwarcie, zasłużył się przytém najwięcej mój pan, jako najwyższy sędzia królestwa węgierskiego. Otóż teraz, gdy król Ferdynand pokonał Zapolskiego, pragnie mój pan, ażeby prawo jego rodziny zostało zapewnione, i ani mu przez myśl nie przechodzi, wdzierać się do drugiej połowy, która przypada rodzinie Heningów.

— Ten majątek — rzekła obracając się Heningowa — nie jest rozdzielny, lecz wspólny obudwu rodzinom; wszystkie dochody i użytki mają być w równej mierze pomiędzy nas rozdzielane. Tak należy wykładać akt nadania króla Ferdynanda, i taką umowę zawarł nieboszczyk mój pan z Batorym w Stubicy.

— No tak... w istocie — rzekł Madziar cokolwiek zmieszany.

— Muszę i to Wam powiedzieć, — mówiła dalej pani Urszula — że w r. 1559 pożyczyłam memu zmarłemu panu Andrzejowi ze swojego wiana siedm tysięcy węgierskich dukatów, zapewniając sobie prawo zastawnicze na czwartęj części całego majątku. Nie zapominajcie téż i o tem, że na tym majątku były długi, gdyśmy objęli go w posiadanie. Wierzyciele, baron Klainach, Jakób Sekely i Władysław Kereczeny przyciskali srodze mojego męża. Na szczęście znalazł się dobry człowiek, pan Ambroży Gregoryaniec, i zapłacił tym pijawkom dług, wynoszący 2033 węgierskich dukatów, warując sobie naturalnie za to prawo zastawnicze, które następnie przelał na swego syna Szczepana, gdy ten ożenił się z moją córką Martą.

— Wiem i to, miłościwa pani, ale nie mogę tego inaczej rozumieć, jak tylko, że obowiązek ten spada na połowę Heningów.

— Milczcie! — zawołała pani Urszula, tupnąwszy nogą. — Tu nie ma żadnej połowy!... dług spada na cały obszar ziemi. Ani królewski sędzia, ani król nie rozetnie naszego dziedzictwa nożem na dwoje, dopokąd będą mieć głowę na karku, jakkolwiek to podwójne gospodarstwo na jednym obszarze ziemi wydaje mi się tak dziwném, jak orzeł o dwóch głowach, z których jedna patrzy na prawo, a druga na lewo.

— Właśnie w tém całe nieszczęście, miłościwa pani! — zawołał Pallfy zrywając się, i oczy dziwnie mu zabłyśły. — Tak jest. Tak sądzę i ja, tak sądzi i wiel-

możny pan mój, Batory. Dajmy więc pokój wyrzutom i sporom i zakończmy tę rozprawę, która trwa już prawie godzinę. Pan sędzia królewski nie chciałby, żeby sprawa przyszła przed sąd, bo sam jest sędzią, a potem także procesa między krewnymi są prawdziwym przekleństwem.

— Ah! — rzekła ze złośliwym uśmiechem Urszula — więc mój miły kuzyn obawia się sądu? Dobrze, że wiem o tem. On zna się na prawach... Dlatego też widać, że prawo jego wisi na słabym włosku. Jednakowoż radabym, panie Pallfy, usłyszeć wasze warunki.

Pani Urszula zaczęła potem chodzić mierzonym krokiem po komnacie, założywszy ręce na krzyż i spuściwszy wzrok ku ziemi. Obok niej kroczył Pallfy, kiwając się i wymachując rękami.

— Po pierwsze — prawil Madziar, podnosząc wielki palec — potrzeba Jerzego Świątosławskiego usunąć. Człowiek ten dopuszcza się gwałtów nie tylko z gorliwości dla swojego pana, ale także dla własnej korzyści. Potrzeba go tedy usunąć, ponieważ nie podoba on się Waszój Miłości, a i bez tego jest on schorzały i słaby. To będzie dogodny powód, ażeby go się pozbyć.

— Dobrze, — dodała Heningowa — mówcie dalej!

— Powtóre — ciągnął Madziar dalej, podnosząc także palec wskazujący — jako zarządcę swego przyszłego pana literata Grzegorza Dombroja, męża spokojnego i sprawiedliwego, który nie ma tu w pobliżu żadnego pokrewieństwa i nie jest nawet żonatym. Jemu wykaże się inwentarzem, ile jest wina, bydła, zboża, siana, sprzętów domowych, i ile z tego wszystkiego przypała na połowę mojego pana.

— Dobrze; — powtórzyła Heningowa — ale owi szatani w ludzkiej postaci, Horwat i Golubicz, muszą także pójść precz; czy słyszycie?

— Na wszelki sposób! Wypędzimy ich natychmiast, miłościwa pani... Po trzecie pozostaną dobra co do państwa, posiadania i wszelkich praw własności nierozdzielnymi; potrzeba tylko, aby to podwójne gospodarstwo zostało należycie ułożone i urządzone.

— Dalej — rzekła Heningowa, spojrzawszy z pod oka na Madziara.

— Nie jest to rzecz tak trudna, jak może wyda się na razie. Przedewszystkiem potrzeba mieć to na względzie, że według prawa wszystkie dochody mają dzielić się na dwie połowy. Tu jednak przyznacie mi słusność, że to rzecz bardzo niemiła, jeżeli dwóch gospodarzy rządzi w jednym miejscu; nie ma tam wogóle żadnego gospodarstwa, gdzie jeden swarzy się z drugim, a już wcale nie przystoi, aby Waszój Miłości rozkazywał ladajaki rządcą lub kasztelan, jak to naprzykład czynił Świętosławski. Jabym radził całkiem inaczej. Spisze się inwentarz całej posiadłości, która nie może być nigdy zmniejszona. Potem obliczy się dochód z jednakowych obszarów ziemi, z robocizny chłopów, a wreszcie ustanowi się dwie równe połowy. Na jednej będziecie Wy gospodarzyć, miłościwa pani, a na drugiej rządcą mego wielmożnego pana. Co roku będzie się przeglądać inwentarz; w jednym, i to lepszym zamku będziecie Wy mieszkali, miłościwa pani, a tu w Susjedzie, będzie przebywał rządcą Batorego.

— A! — zawołała pani Urszula — tedy znowu

zaczynacie dzielić, panie Pallfy. A kto mi zabezpieczy spółwłaścicielstwo Susjedu? Nigdy, przenigdy!

— Uspokójcie się tylko, miłościwa pani; — prawili dalej perswadując Madziar — pomyślałem i ja o tem, i jestto na wszelki sposób rzecz słuszna, abyście się zabezpieczyli w waszém prawie, chociaż Batorowie są waszymi krewnymi. Nie przemawia do Was teraz zastępca królewskiego sędzi, lecz wasz przyjaciel. Ażeby spółwłaścicielstwo wasze było zabezpieczone, może tu na zamku przebywać wasz podkasztelan, człowiek zaufany i prawy szlachcic, któryby strzegł waszego prawa. To wszystko możemy pisemnie ułożyć rodzajem umowy, która obowiązywałaby zarówno jedną jak i drugą stronę.

— A czemuż ja nie miałabym pozostać tu w Susjedzie? — spytała Urszula po chwili namysłu. — Przecież to jest właściwa siedziba rodziny Heningów.

To rzekłszy, zaczęła Urszula z pod oka przyglądać się Madziarowi, który w pierwszej chwili się zmięszał, ale wnet opamiętawszy się, mówił spiesźnie:

— Gdybym był na waszém miejscu, nie pytałbym się nawet o to. Wszak i bez tego przebywacie naprzemian w Susjedzie i w Stubicy, a stubicka połowa jest o wiele lepsza niż susjedzka, o czém każdy może łatwo się przekonać. Robiąc obliczenie, nie będziemy brali na wagę każdego ziarnka. Mój miłościwy pan zgadza się i na to, byście dla „większego poszanowania prawa“ przebywali co roku po dwa miesiące w Susjedzie, gdy przeciwnie on nikogo ze swoich nie poszle Wam do Stubicy. Zapytacie się, dlaczego pan sędzia królewski wybrał Susjed? Bo znajduje się bliżej Zagrzebia, u granic sty-

ryjskich i w pobliżu Krainy. W Zagrzebiu ma miłościwy mój pan przyjaciół, którzy będą doglądali jego gospodarstwa; Wy nie sprzedajecie waszych płodów ziemskich daleko, Batory zaś mieszka w Węgrzech w żupaństwie pozuńskim, jemu potrzeba więcej pieniędzy, a tu może snadnie przedawać płody swoje sąsiednim krainom. Sądzę, że projekt ten jest szczery i poczciwy, a pono i mniej korzystny dla mojego pana. Ale on kazał mi właśnie stawiać warunki tak umiarkowane, aby przekonać Waszą Miłość, że Batory ani oszukuje ani też nienawidzi Henin-gów, że pan mój żywi w swém sercu miłość ku waszej rodzinie, choćby nawet miał ponieść jaką szkodę przy tém. Osądźcie to sami, miłościwa pani.

Wdowa stanawszy ze złożonymi na krzyż rękoma, utkwiała badawczy wzrok w Madziara, jak gdyby chciała wyczytać z jego twarzy, czy kłamie, czy też mówi prawdę. Ale Pallfy ani drgnął nawet. Urszula zwiesiła głowę i zaczęła rozmyślać. Projekt był istotnie dość korzystny, połowa stubicka o wiele lepsza. Wdowa zaczęła w duchu obliczać; umowa taka była dla niej wielce dogodna. Wreszcie pragnęła ona także już zgody i pokoju. Pierwsze lata jej małżeństwa były bardzo burzliwe. Dwóch królów było w królestwie, dwa zaciekle stronnictwa magnatów, dwa przeciwne obozy szlachty, ustawy nie miały ani znaczenia ani powagi, prawa nadawała przemoc, a spory miecz rozstrzygał. Nieboszczyk Andrzej Henéing był człowiekiem słabym, a ona z sześciu córkami była nieustannie wydawana na łup rozbójniczym żądzom, osłaniającym się chytrze pismami królewskimi. Miałab znowu puścić się w zapasy, i to z potężnym Andrzejem Batorym, przyja-

cielem i stronnikiem króla Ferdynanda, z człowiekiem, który dzierżył najwyższy sąd w swoim ręku?

Urszula podniosła naraz głowę i rzekła spokojnie do Pallfyego:

— Szanowny panie! Układ, o którym nagadaliśmy się do syta, jest wielce ważny i tyczy się całej rodziny mojej. Znam się cokolwiek na waszych ustawach, ale zawsze potrzeba wprzód zastanowić się nad tą sprawą i porozumieć z całą rodziną. Muszę zasięgnąć zdania moich zięciów i podbana Ambrożego. Więcej oczu widzi więcej. Bądźcie jakiś czas cierpliwi. Nie mówię, że po prostu odrzucam podane warunki, ani też je przyjmuję. Bądźcież tedy moim gościem, raczcie się, jak gdybyście byli we własnym domu, jak gdyby cały ten zamek należał do Was. Za kilka dni będziecie mogli oznajmić księciu Andrzejowi Batoremu, jaka stanęła umowa między nami. Ale ponieważ mężczyźni mają zimniejszą krew i są mądrzejsi, przeto zdam całą umowę na mego zięcia, Michała Konijskiego, który w zeszłym roku podał do bana skargę w mojem imieniu. On rozpoczął walkę, niechże więc doprowadzi także do zgody, jeżeli okaże się to możebnem.

— Szczęśliwym się nazwę, — odpowiedział Madziar uśmiechając się z dworacką grzecznością — jeżeli zdołam przyczynić się do pojednania dwóch tak sławnych rodzin, a jakieś dobre przeczucie mówi mi, że starania moje nie będą daremne.

— Zaklinam Was jednak, panie Pallfy, — dodała wkońcu Urszula tonem stanowczym — byście pamiętali o tém, równie jak i wasz pan, że Urszula Heningowa nie zna żartów, i że jeżeli w tej sprawie wyjdzie na jaw

choćby najmniejsze oszukaństwo, to na rany Boskie, będzie źle, i krew poleje się niezawodnie. A teraz dobranoc!

To rzekłszy, skinęła Pallfyemu ręką na pożegnanie, on zaś złożwszy głęboki ukłon tej osobliwszój niewieście, udał się na spoczynek do swój komnaty, którą przygotował dla niego Iwon w strażniczėj wieży zamkowej.

---





## II.

Czwartego dnia po umowie z panią Urszulą, wczesnie zrana, wskoczył Michał Pallfy na konia przed zamkiem sujezdkim i skinął ręką na pożegnanie Michałowi Konijskiemu, mężowi roslemu i barczystemu, który aż do bramy odprowadził madziarskiego gościa.

— Z Bogiem, egregie domine! — rzekł uśmiechając się poseł Batorego — w krótkce zobaczymy się znowu. Miło mi wielce, że rozłączamy się po przyjacielsku. Za dwa dni będę tu znowu i przywiozę ze sobą Grzegorza Dombroja. Byłoby bardzo pożądanem, by do tego czasu spisany został inwentarz.

— O to się nie troszcie. Przygotuję to sam.

— Dobrze, dziękuję Wam! — dodał Madziar i ukłoniwszy się, odjechał z wesołem obliczem ku Zagrzebiu.

Pan Pallfy nie oszczędzał wcale swojego konia; co chwila bódł go ostrogami w żebra; widocznie było mu bardzo spieszo. Nie oglądając się ani w prawo ani w lewo, przeleciał przez wsi Stenjewce, Wrabcze, Czernomerec, a jeszcze bardziej rozjaśniło się jego oblicze, gdy

mu się wkrótce z górskich załomów ukazała wieża Śgo. Karola.

Szarpnąwszy silnie za uzdę i przygiąwszy się aż do szyi konia, pędził jeszcze szybciej, że aż wieśniacy, idący do miasta, ze zdziwieniem nań spoglądali. Nie zwracając wcale głowy, przejechał przez przedmieście Tridesetnic, skreślił ku bramie kapitulnej i stanął przed murowanym domem kanonickim niedaleko klasztoru. Nie czekając, aż mu kto otworzy, zeskoczył szybko z konia, otworzył wewnętrzną furtkę i wszedł nią na dziedziniec, wlokąc za sobą konia za uzdę. Potem uwiązawszy go do słupa, pospieszył schodami na górę i odemknął pierwsze drzwi.

W izbie znajdowały się dwie osoby: na ławeczce siedział otyły jegomość z wielkim brzuchem; pod brodą ścisnął mu szyję czerwony kanonicki obojczyk, a małe, siwe oczy jego błyszczały zadowolone nad szerokim, tłustym nosem. Obok niego siedział na krześle chudy i blade człowiek, o krótkich włosach i przystrzyżonych wąsach; patrzył zgarbiony w ziemię, a dla gęstych brwi nie można było nawet widzieć jego oczu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał wesoło Madziar, wchodząc do izby, i rzucił swój kołpak na wielki gliniany piec stojący przy drzwiach.

— Na wielki wieków! — odpowiedział kanonik. — Spadacie, wielmożny panie, do mego domu jak grom z jasnego nieba.

— Jak grom! — powtórzył śmiejąc się serdecznie Pallfy. — Widzę żeście nielada frant, admodum reve-

rende domine!\*) Nazywacie się Szczepan Świątosławski, postępujecie jak święty jaki, a macie grubo za uszyma. Więc nie oczekiwaliście mnie teraz, naprawdę? Cha, cha, cha! Wy Kroaci, jak widzę, nauczyliście się sztuki udawania od Turków.

— Eh, ja Wam powiem, egregie amice\*\*) — zaśmiał się kanonik mrużąc powieki — nauczyliśmy się tego nie od Turków, lecz od was, Miadziarów. Wy jesteście mistrzem w tej sztuce i Wasz pan. Ale teraz mówcie, jak załatwiliście waszą sprawę i w czym mogę być Wam pomocnym?

Po tych słowach powstał kanonik i ziewając spojrział na przybyłego. Chudy zaś towarzysz jego ani się nie poruszył i zmierzył tylko z ukosa Madziara.

— Pytacie mnie, jakem się sprawił, admodum reverende amice! Była to diabelska praca. Z Pożunia wytrząsałem na koniu porządnie moje kości, aż mi wszystko obmierzło. Piękną miałem zabawę, księżę kanoniku! Gdy było szło o to, żeby zmierzyć się z Turkiem, to i owszem! Ale z szaloną babą grać w ślepa babkę, to zawiele na mężczyznę, i wołałbym raczej gryść słomę. No, ale jak się rzecz ma, opowiem Wam w imię Boże, jeżeli chcecie posłuchać.

— Mówcie tylko — odpowiedział kanonik.

— Proszę Was jednak, zobaczenie, czy nie podsluchuje nas jaki gość nieproszony.

— Zobaczę; powiem moim ludziom, żeby nikogo do mnie nie puszczali, choćby to był Piotr święty.

---

\*) Przewielebny panie. \*\*) Szanowny przyjacielu.

I opasły kanonik, zatoczywszy się ku drzwiom, wyszedł z izby.

— I cóż, domine Georgi, — zaczął Pallfy podkrecając wasy — czy powiedziałeś bratu Szczepanowi, o co chodzi?

— Powiedziałem i niepowiedziałem — odrzekł chudy człowiek pokaszlując. — Szczegółowo jeszcze mu wszystkiego nie wyłożyłem, napomknąłem tylko zdaleka o tem. Nie mogłem znaleźć dogodnej sposobności. Podług waszój rady wybrałem się ze Susjedu do Zagrzebia wprzód, niż Wyście tam przybyli. Powiedziałem ludziom, że jadę do miasta poradzić się lekarza na moję słabość. Wszyscy uwierzyli, nawet stara Urszula, ten szatan w ludzkiem ciele. I nie ma zresztą czemu się dziwić, bo gorączka trzyma mię jak w kleszczach. Pierwszego dnia nie zastałem brata. Był gdzieś u Sgo. Jana dla złożenia wiarogodnego świadectwa. Na drugi dzień zaś zwała się tu cała czereda przewielebnych księży kanoników. Najprzód gadatliwy bazgracz Antoni Vramec, który nie mówi o niczém inném, tylko o babskich kłótniach; potem pionujący Franko Filipowicz, który nawet językiem ścina łby Turkom; potem Krystyn Mikulicz, Iwan Dombryn, Jerzy Hereszyniec i jak się tam zwie cała ich litania. Wobec tych świadków nie mogłem ani pisać o życzeniu pana sędzi królewskiego. Teraz znów wpadliście Wy, egregie domine, i dziwię się, że przybyliście tak prędko. Baba Urszula to twardy orzech i szczywany lis przytem. Namęczyłem się z nią niemało, ale nigdy nie mogłem złowić jój w sidła. I cóż, jak rzeczy stoją?

— Dobrze, Domine Georgi! — zaśmiał się Madziar.



— I ja dziwię się sam sobie, albowiem — — — W tój chwili powrócił kanonik.

— No, teraz jesteśmy jakby zakopani pod ziemię, egregie ac nobilis domine, gdyż ludzie moi powiedzą każdemu, że kanonik Szczepan Świątosławski odjechał do Bijeniku na swój folwark. Zaczniemy tedy — zakończył kanonik, składając ręce na potężny brzuszek.

Pallfy założył jedną nogę na drugą, oparł głowę na lewym łokciu i podkręcając wasy zaczął mówić:

— Wasz brat, admodum reverende amice, nadmicnił Wam już pono zdaleka, jaki ma być cel naszój pracy. — Kanonik kiwnął głową. — Otóż, aby przedza była mocniejsza, wysnuję Wam jeszcze jedną nitkę. Rzecz główna jest taka: Memu wielmożnenu panu przypada połowa Susjedu i Stubicy podług aktu nadania króla Ferdynanda.

— Wiem, potwierdził kanonik skinieniem głowy.

— Dobrze — mówił dalej Madziar. — Mój pan używał połowy wszystkich dochodów; druga połowa przypadała Heningom, a działem Batorego zarządzał wasz brat, Jerzy Świątosławski. Stara Heningowa nienawidzi go, zlorzeczy mu i skarży się na niego.

— I to wiem — skinął znów głową kanonik.

— Ale o czém nie wiecie, przewielebny mój przyjacielu, to właśnie chcę Wam powiedzieć. Mój pan, najwyższy sędzia, przebywa w Pożunie. Wasza Kroacya, a więc i Susjed i Stubica, leżą diabelnie daleko. Turcy przychodzą często mówić wam „dzieńdobry!“ Wy się z nimi tłuczecie i borykacie, ale Fortuna to wielka zwo-dnica; mogłoby łatwo się zdarzyć, że tureckie konie mo-

dliłyby się do Boga w Zagrzebiu... a ze Zagrzebia do Susjedu bardzo blisko. Wy wprawdzie jesteście bohaterami, ale i bohaterom zachciewa się czasem złota, a kiesa królewska próżna, i przeto wielmożny pan mój obawia się o Susjed i Stubicę, które i tak w razie jakiejś złej przygody są najpierwsze prawie wystawione na pastwę. Potrzeba więc czuwać nad tem, ażeby nie zostały zniszczone. A to rzecz diabelnie trudna. Jakaż rada na to? Oto sprzedać dobrze obie posiadłości. Nieprawdaż? Ale jak to uskutecznić? Teraz jestto już rzecz łatwa. Stara Urszula ma ostry język, a jeszcze ostrzejsze pazury, mój bracie; to lis prawdziwy. Mój pan długo przemyślał nad tém, aż wreszcie znalazł kupca, i to bardzo dobrego.

Przewielebny kanonik, przysłuchując się opowiadaniu posła Batorego coraz uważniej, wytrzeszczył ze zdziwienia małe swe oczka, ale nie odzywał się wcale.

— A jak się to stało — mówił dalej Pallfy. — Przeszłego roku, dnia 8. września, kazał najjaśniejszy nasz władca Ferdynand koronować w Pożuniu swego syna Maxymiliana na apostolskiego króla. Was Kroatów był tam piękny orszak z księciem Mikołajem Zrińskim na czele. Chorążowie królewscy stali u wzgórza koronacyjnego, a na ich czele trzymał sztandar kroacki wielki koniuszy, Ferdynand Tahi, rodem także Kroat, chociaż dziad jego pochodził z czystej krwi miadziarskiej. Ale pan Tahi zapomniał o swoim pochodzeniu, przystał na zawsze do was i bije się z Turkami.

— A tak, tak; — przyświadczył kanonik — pan Tahi to straszny człowiek. Prawdziwy junak, ale własny

lud boi się go taksamo jak Turcy, bo gdzie tylko stąpi jego noga, tam trawa już się nie zazieleni.

— Gdy tak wielki koniuszy, trzymając sztandar na koniu w pocie czoła, chmurzył się nieco trapiiony reumatyzmem, przystąpił do niego mój pan, najwyższy sędzia, i rzekł: „Witaj, bracie Ferdynandzie! Jużśmy się nie widzieli, Bóg wie jak długo. Zakopałeś się jak stary niedźwiedź w swoim zakątku między Drawą i Sawą. Jak się miewasz?“ — „Eh, źle się mam, bracie sędzio królewski.“ — „A cóż ci brakuje?“ — „Trapi mię potrójnie nieszczęście. Najprzód i najbardziej reumatyzm, który chodzi mi po wszystkich kościach; powtóre Turcy, którzy coraz mocniej na nas nacierają, a po trzecie mój miły szwagier Mikołaj Zriński. Dał swojej siostrze Helenie Bożjakowinę, a tego roku bardzo wspaniale z nami postąpił, . . . wypędził z niej bowiem mnie i swoją siostrę. Miły to braciszek!“ — „Ba, ten Mikołaj gorszy od Turka. Słyszałem o sporze waszym. Z tym człowiekiem nie ma rady, a król boi się Zrińskich. Ale powiedz mi, gdzie ty ciągle przebywasz?“ „Gdziebądź, jak cygan. Jakiś czas w Międzymurzu, to znów w Zabłociu albo na zamku Stettenbergu w Styryi, albo wreszcie w pustyni mojej w Bereni. Mam chwałę Bogu dość i bez Bożjakowiny, ale nie mogę nigdzie na dobre się zagnieździć, a moja pani Helena złości się nieustannie.“ — To Batory zamyslił się nieco, a potem rzekł niby żartem: „Bracie, masz pieniądze?“ — „Znalazby się, Bogu dzięki, jakiś grosz.“ — „Posłuchaj tedy — mówił dalej Batory — mam połowę dwóch zamków tam wdole na końcu świata, Susjedu i Stubicy. Susjed leży nad Sawą, prawie tuż u granic

styryjskich. Miejsce to jakby umyślnie stworzył Pan Bóg dla ciebie. Dla mnie ono niekorzystne, leży zadaleko. Chciałbym nabyć coś tutaj. Kup sobie Susjed i Stubicę.“ — „Za ile sprzedasz swoją połowę?“ — zapytał Tahi. — „Sprzedam tanio, wszystko za 50.000 dukatów węgierskich.“ — Tahi zwrócił głowę i chciał coś powiedzieć; ale w tem zagrzmiały trąby, młody król wstąpił na wzgórze, a chorążowie zaczęli ustawiać się dokoła. Wtedy mój pan widząc, że przy takim zgiewku niepodobna dalej rozmawiać, zawołał za Tahim przy pożegnaniu: „Przyjdź wieczorem do mnie, ugodzimy się!“ — Rozeszli się, a na drugi dzień opowiedział mi mój pan całą rozmowę dodając, że sprzedał Tahiemu połowę swoich kroackich posiadłości za 45.000 dukatów węgierskich. Cóż tedy powiecie na to, szanowny kanoniku?

Pan Szczepan poskrobał się w nos jakby w zamyśleniu.

— Eh, ja myślę, że z tego będzie piękna historia?

— Dlaczego, admodum reverende amice?

— Ponieważ na progu susjeskim siedzi pani Urszula, a to baba zła jak szatan. Jakżeż wprowadzicie pana koniuszego do tego majątku? Heningowa uważa go za majątek rodzinny podług prawa dziedzictwa, którego ta rodzina będzie trzymała się ciągle, i przeto ów dział Batorego tylko jój może być sprzedany. Pani Urszula będzie bronila się zębami i pazurami.

— Cóż to znaczy! — zaśmiał się wzgardliwie Ma-dziar. — Wy Kroaci jesteście doprawdy dziwni ludzie. Cóż to jest prawo? Wszystko jest prawem, byle tylko znaleźć stósowną formułkę na to. Formułką możesz w naszym kodeksie wyłożyć każde prawo jak chcesz.



— Zapewne bąknął kanonik.

— A prawo dziedzictwa?... Król nadał te dobra w połowie Heningom, a w połowie Batorym. Może tedy król dozwolić, aby mój pan swoje połowę przekazał komu innemu. Ferdynand jest wielkim przyjacielem mego pana, równie jak i Tahiego; on wie, że tylko przy pomocy Batoroego może młody Maxymilian zasiadać bezpiecznie na tronie węgierskim. Prawie dał mu już pozwolenie na to. A wprowadzić Tahiego w posiadanie? Wiecie przecież, co to jest władza prawna! Umówiłem się już z Urszulą, i patrzcie, oto spisana jest umowa. — Pallfy wyjął z zanadrza pismo i podał je kanonikowi śmiejąc się: — Czytajcie kanoniku! To dzieło mistrzowskie! Zięć staréj Urszuli, Konijski, sam to napisał. Szczególny człowiek. Nasmarowałem mu jego długie kroackie wąsy miodem mojej wymowy, a zagórski ten błazen uwierzył wszystkiemu. O Tahim, ani pisałem. Na waszego brata wymyślałem strasznie, rozumnie się na pozór tylko, i przyrzekłem, że go wnet wypędzę. To ich zupełnie otumanilo; zwłaszcza stara Heningowa była wielce uradowana. Urszula przenosi się do Stubicy, a Susjed będzie wolnym. Dombroja nastroiłem już, jak się ma zachować. „Musisz staréj unikać, — powiedziałem mu — aby się niczego nie domyśliła“ — a potem héjże z koniuszem do Susjedu!

— Ale podług ustawy królestwa Sławońskiego — odpowiedział kanonik zwracając Pallfyemu pismo — zmiana właściciela musiałaby być ogłoszona na zgromadzeniu stanów, i to w obecności bana.

— Co się tyczy ustawy sławońskiej, — machnął Miadziar ręką — to szkopał ten ominiemy łatwo. A ban?

Mój Boże! Któż jest banem? Książę Piotr Erdoedy. Czyż pierwsza żona jego nie była córką Tahiego? A chociaż umarła, chociaż ban ożenił się potem z Joanną Alapicówną, to przecież teść i zięć pozostali przyjaciółmi, wielkimi przyjaciółmi.

— Zapewne, zapewne — zamyślił się kanonik. — Ale po stronie Heningowej stoi Ambroży Gregoryaniec, człowiek potężny.

— Tego nie boimy się wcale; Ambroży był kasztelanem Mikołaja Zrińskyego. Mikołaj i ban Piotr patrzą na siebie krzywo od czasu, jak syn Mikołaja osadził na koszu córkę bana; przeto Piotr gniewa się na Ambrożego, a prócz tego ban nie cierpi podbana za to, że się pokłócili o granice samoborskie. Ban będzie z Tahim, Alapic z banem. Cóż, czy widzicie teraz jasno, kanoniku?

— Widzę, ale cóż mnie to obchodzi?

— Wy wprowadzicie pana Ferdynanda na zamek.

— Ja? — zawołał kanonik, cofając się o dwa kroki.

— Wy, wy! Ale poczekacie, aż się Urszula przeniesie do Stubicy. Batory was o tem zawiadomi; weźmiecie jednak ze sobą powiatowego komornika, którego Wam wyznaczymy. Gdy Susjed będzie wolnym, przyjedzie Tahi ze swoim oddziałem kaniskich jeźdźców do Zagrzebia, a z nim będzie także kilku jego przyjaciół. Nocą wtargniecie do Susjedu. Wprowadźcie go tylko w posiadanie, a nikt się temu nie sprzeciwi. Tahi obsadzi zamek, ponabija działa, pozamyka bramy, i wtedy niech przyjdzie pani Urszula, jeżeli zechce skosztować żelaznych

jablek. Wynikną z tego spory i zatargi, ale mniejsza o to; tymczasem Heningowa może umrzeć, kroacki ban jest zięciem Tahiego, a Andrzej Batory królewskim sędzią.

Kanonik stał milcząc przed Pallfym, który mierzył go bystrym wzrokiem; Jerzy zaś Świętosławski podniósł nieco głowę i spoglądał to na brata, to na Michała Pallfyego.

— Nie mogę — odpowiedział z błagalnym wysileniem kanonik — to sprawa niebezpieczna. Nie mogę, nie mogę; to byłoby wyraźne naruszenie prawa.

— Nie wyjeżdżajcież wiecznie z waszymi czczymi formalnościami! — zawołał Madziar rzucając się. — Bądźcie pewni, że potężne osoby, którym wyświadczycie przysługę, nie pozostawią Was nigdy na lodzie. W imieniu mego pana, księcia Andrzeja Batorego, zarządzam Wam, że z tego powodu nigdy nic złego Was nie spotka. Oto moja ręka!

— A czyż nie jest to ta sama ręka, która podpisała umowę z Urszulą Heningową? — zapytał poważnie kanonik.

Pallfy spojrział na niego tak, jak gdyby chciał prześzyć go swoim wzrokiem, i począł targać wasy ze złości; potem zaś rzekł spiesznie!

— Mówmy otwarciej kanoniku. Clara pacta, boni amici.\*) Pan mój nie posłał mnie przecież na żart tylko. Pragnie on stanowczo, ażeby sprawa ta skończyła się tak czy siak, a jeżeli Wy nie zechcecie mu usłużyć, znajdziemy może kogo innego, choćby Filipowicza, którego

---

\*) Wyraźne układy, dobrzy przyjaciele.

mózg nie jest okuty stalą. Ponieważ znam waszego brata, chciałem tę sprawę Wam poruczyć. A dlaczego? Czyż potrzebuję mówić wyraźnie? Wasz brat ma pocziwe dzieci i ma żonę, powiedzmy bez ogródki, marnotrawnicę.

— Waszę krajankę — mruknął kanonik wahając się.

— To rzecz obojętna — odparł zimno Pallfy. — Wasz brat jest zadłużony po uszy. Wierzycielami jego są książę Andrzej Batory i Ferdynand Tahi, baron Stettemberski. Rzecz to zaprawdę szczególna: Jerzy Świętosławski posiadał zaufanie królewskiego sędzi, a zaufanie to było wielkie, może zanadto wielkie. Mój pan zrobił waszego brata rządcą susjedzkim; dojna to krowa! Ale wasz brat nie tylko doił tę krowę i zabierał najlepsze mleko dla siebie, lecz wysysał ją aż do krwi... oszukiwał swojego pana.

Kanonik zadrzał, a pochyłony brat jego spuścił głowę jeszcze niżej i jęknął rozpaczliwie.

— Tak jest, oszukiwał — mówił Madziar dalej dobitnym głosem. — Wiem to z listu pani Urszuli, że kradł, wiem i więcej jeszcze. Jego spółnicy zdradzili go i gotowi są świadczyć przeciw niemu. Wy, domine admodum reverende, kochacie brata, kochacie jego dzieci, dla nich bije żywo wasze serce; to wiem również bardzo dobrze. A teraz pomyślcie, coby się z nim stało, pomyślcie, jaka spotkałaby go hańba, jaka niedola i nie-szczęście, gdyby królewski sędzia tylko palcem kiwnął. Majątek jego zostanie sprzedany, dzieci nie będą miały chleba, a imię szlacheckie pójdzie na pręgierz. Chcecież, admodum reverende amice, ażeby herb wasz został po-

kalany błotem, czyż zniesie wasze serce płacz i narzekanie dzieci!

Pallfy rozkoszując się widocznie przerażeniem kanonika, założył na krzyż ręce. Ksiądz zaś stał przed nim oniemiały, ze wrokiem utkwionym w ziemię; po niejakić chwili dopiero wyszeptał:

— Jesteście, panie Pallfy, okrutnym człowiekiem, nie macie serca!

— No proszę! Ja nie mam serca? To chyba żart kanoniku. A miał wasz brat serce, gdy oszukiwał? Ja nie mam serca! To jeżeli człowiek rozumny, mówicie mu, że nie ma serca. Mój pan chce bądź co bądź, aby Tahi został wprowadzony w posiadanie. Tak być musi, rozumiecie, kanoniku? Tak musi być! A ja obmyśliłem już mądrze, jak to zrobić trzeba. Ale poco mówić wiele. Ręka rękę myje. Chcecie wprowadzić Tahiego czy nie? Wprowadzicie go, to waszemu bratu będą odpuszczone nietylko grzechy jego, ale i długi, a ban i Tahi, którzy śród stanów waszych mają silne stronnictwo, postarają się o to, ażeby wasz sejm obrał go na sędziego. Jeżeli zaś nie wprowadzicie Tahiego, no... to lichy porwie cały majątek i cześć, a wasz brat nie pójdzie zasiąść na stolcu sędziowskim, lecz do więzienia. Tu nie ma ani żartu ani zmiłowania. I cóż, kanoniku: tak czy nie? Mówcie!

Szczepan Świątosławski zbladł jak ściana; na czoło wystąpiły mu wielkie krople potu i ręką przyciskał serce. Jerzy, brat kanonika, podniósł się powoli z siedzenia. Lica mu pożółkły, wszystkie żyłki na twarzy drgały z boleści; wytrzeszczył wielkie zamglone oczy i nieruchomie spoglądał na brata, oczekując z ust jego zbawienia lub zguby.

Kanonik milczał. Naraz postąpił Jerzy o krok naprzód, ukląkł przed bratem i objąwszy jego kolana, zajęczał głosem rozdzierającym serce:

— Bracie, bracie! Jestem wielkim grzesznikiem. Wiem, że nie godzien miłosierdzia, ale zmiłuj się nad moimi dziećmi, nad biednymi dziećmi, których chrzestnym ojcem jesteś. One nie zawiniły! — I Jerzy Świętosławski płacząc gorzko, oparł głowę na kolanach brata.

— Boże! — westchnął kanonik. — Ty widzisz tę niedolę i to nieszczęście. Jeżeli zgrzeszę, nie uczynię tego dla własnej korzyści, lecz dla miłości biednych dzieci. Boże! Odpuść mi ten grzech! Wstań, bracie Jerzy! Uspokój się! Widzisz, com ci przepowiadał. Mówiłem ci: strzeż się pięknej, czarnookiej Madziarki; u niej krew gorąca, ale rozum lekki. Złamała ślub, oszukała cię, porzuciła, wyrzekła się własnych dzieci, a ty żyłbyś w nędzy i hańbie, gdyby cię brat własną czią nie zasłonił!

Gorzkie łzy sączyły się po jego licach; brat płacząc nieustannie, całował jego ręce, a Pallfy tymczasem, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, patrzył spokojnie przez okno z twarzą obojętną, z duszą zimną i z sercem lodowatym.

— Panie Pallfy! — boleśnie przemówił kanonik.

— Cóż takiego? — odparł chłodno Madziar, zwracając głowę.

— Kiedy przyjedzie pan koniuszy królewski do Zagrzebia?

— Nie wiem. Uwiadomię Was o tem pisemnie, szanowny kanoniku. Na wszelki sposób nie prędjéj, jak

za dwa lub trzy miesiące. Potem weźmiecie się do dzieła. Czy namyśliliście się?

— Namyśliłem — szepnął półgłosem kanonik, kiwnąwszy głową.

— Dobrze! Trzymam Was za słowo; podajcie mi rękę! — mówił Pallfy, podając kanonikowi prawicę, którą ksiądz ujął nieśmiało i ze spuszczoną głową.

— Dziś jeszcze uwiadomię mego wielmożnego pana o waszem postanowieniu i jestem pewny, że go to ucieszy. Oto jest umowa między królewskim sędzią i panem koniuszym; gdy dzieło będzie skończone, zwróci księżę Batory Jerzemu wszystkie swoje i Tahiego listy dłużne. Ale teraz potrzeba baczyć pilnie, a przedewszystkiem milczeć, aby stara Heningowa nie mogła niczego się domysleć, inaczéj wszystkoby się zepsuło. Wy, admodum reverende, bywajcie więc zdrowi. Wy zaś, Jerzy, wracajcie jutro ze świtem do Susjedu. Nie trzeba, żeby nas razem widziano. Ja przyjadę tam pojutrze z literatem Grzegorzem Dombrojem. Przygotujcie inwentarz, i niech wszystko będzie jak najdokładniej opisane, by stara Heningowa nie mogła powziąć żadnego podejrzenia. A teraz już, przyjacielu, bywaj zdrów! Nim odjadę ze Zagrzebia, jeszcze się zobaczymy. Idę zobaczyć się z Dombrojem. Jestem istotnie rad wielce, że się to tak skończyło. Bywajcie zdrowi!

Po tych słowach skłonił się Pallfy bardzo uprzejmie i wyszedł spiesznie z pokoju na schody, do których kanonik w milczeniu go odprowadził.



### III.

Jestto już trzecia niedziela po Wielkanocy. W blasku wiosennego słońca zieleni się na wyżynach kroackiego Podgórze młody las, a z pośród zieleni wyziera tu i ówdzie białe dworki szlacheckie. Rączo wije się Sawa pod złocistą wierzbina, połyskując od słonecznego blasku. Południe minęło już dawno, słońce chyli się ku zachodowi. Po błękitnym niebie przepływają cienkie żółtawe obłoczki, zasłaniając chwilami słońce; z obłoków od południowo-wschodniej strony strzelają tu i ówdzie w prostych liniach ogniste pręgi, gdzieindziej zaś rozścielają chmurki szerokie swoje cienie. Powietrze czyste jak krzystal. Gdziekolwiek rzucisz okiem, widzisz młode kłosa, świeżą zieloność łąk i gajów, a daleko na równinie możesz rozpoznać, jak biało odziana niewiasta kroczy polem, jak drogą koń cwałuje, jak rozłożysta jabłoń, stojąca samotnie w szarym polu, rozściela cień swój na jasnej zieleni. Czy widzisz tam w południowej stronie ów szereg olbrzymich, ponurych grzbietów i załomów? To góra Okicza. Tuż pod górą rozsypały się jak gołębie domki miasta Samo-



boru, a nad miastem połyskuje cynowa wieża kościółka Śgo. Leonarda. Na zachód od góry Okiczy staczają się wyżyny krainiskie; gęste lasy na nich oblane ciemnym, purpurowym blaskiem, od którego odbijają szare, kuliste sklepienia mokrzyckiego zamku i bogata wieś Jeseniczka. Na wschodzie blednieje powoli niebo, a na niem rysują się ciemne wzgórza zagrzebskie, zniżające się stopniowo ku Sawie, na której brzegu wznosi się pagórek ze Susjed-grodem. Na szczytach jego igrają jeszcze różowo promienie słońca. W pośrodku téj okolicy leży wieś Berdowce. Zaledwie ją widać. Stare, drewniane chaty wieśniacze, o płaskich dachach z dranic, kryją się za gęstymi drzewami owocowymi, obsypanymi białem kwieciem, i rzadko gdzie przedziera się jakiś promyk światła na dziedziniec, aby utonąć w szarej kałuży, po której brodzi stado żółtawych gąsiąt. Tylko czerwony dach wieży kościelnej sterczy ponad drzewami. Poza wsią zaś na łące, jakież tam krzyk i hałas. Uwija się na niej cały rój dziątek. Włosy ich złociste jak kłosa, twarze pełne i rumiane jak jabłuszka, a ciało ich okrywa tylko koszulka, przepasana rzemieniem. Jedno skacze, drugie wykrzykuje, inne kręci się wkoło i klaszcze rączkami; dokoła wrzawa, od której możnaby ogłuchnąć, i nawet zuchwały wróbel, który na kwitnącym głogowym żywopłocie czyha na złociste muszki, porzuca swe stanowisko i ucieka przestraszony. Powietrze pogodne i ciepłe, kwiat oddecha pełną piersią, i dusza też ludzka jak kwiat się otwiera.

Właśnie umilkły w kościółku organy; lud wychodzi z niesporów. Pomędzy drzewa wracają spieszenie do zagród włościanie i włościanki. Tylko tu i ówdzie na

rozstajnej drodze zatrzymuje się jakaś kmotra, w białej płótniance i czerwonej chustce na głowie, aby rozmawiać ze sąsiadką o mrozie, o przedziwie, o swaćbach i o czem zresztą lubi mówić język niewieści.

Na końcu wsi, otoczony śliwowym sadem, stoi domek włościański, a obok niego obora, szopa i suszarnia na kukurydzę. Domek bielutki jak śnieg i pięknie posyty świeżą słomą. Sad gęsto zarosły drzewami; promienie słoneczne igrają więc tylko po wierzchu strzechy i pomiędzy konarami drzew, a na dole pod nimi przyjemny chłódek. Koło drewnianego ganku, przy samej prawie ziemi, znajdują się wielkie drzwi. Jestto piwnica; u drzwi stoi stół i dwie drewniane ławeczki. Pod śliwami na trawniku taczają się dzieci około drzemiącego, kudłatego psa; na schodach od ganku rozkoszuje kotka, myjąc łapką biały swój pyszczyk, a obok z obory wystawia siwa krowa ciekawy swój łeb. Widać, że błogosławieństwo Boskie i szczęście ludzkie zamieszkują w tej zagrodzie, a ciche to szczęście najlepiej maluje się na rumianych licach ładnej, czerstwój niewiasty, która oparta na gołym, pulchnym łokciu z prawdziwą rokoszą spogląda z ganku swymi czarnymi oczyma. Płeć jej równie biała jak szata, usta pełne, czerwone jak gęste sznury koralu, spadające na bujną jej pierś; na twarzy jej nie ma ani jednego zmarszczka, w kruczonych jej splotach, spiętych miedzianym grzebieniem, ani jednego siwego włoska; na długich jej rzęsach i na pulchnych ustach igra chwilami uśmiech, który nastęrcza zarazem sposobność do zobaczenia dwóch rzędów pięknych, białych jej zębów. Ten uśmiech niewiasty powiada wyraźnie, że i serce jej w tej chwili za-

drzalo z radości. Ale jeszcze żywiej polyskuje jej oko, gdy spojrzy na swego męża, który stoi przy stole pod okapem wśród wesołego towarzystwa. Człowiek to nie młody już wprawdzie, ale czerstwy, silny i wysoki, że musi aż schylać się we drzwiach kościelnych. Pod białą, rozpiętą koszulą rozdyma się pierś szeroka i twarda, jakby wykuta z żelaza; na smukłym karku wznosi się duża, podłużna głowa. Płowy włos jego ostrzyżony, broda ogolona, tylko pod nosem zwisają długie, posiwiałe wąsy, główna ozdoba szerokiego a owalnego oblicza, na którym błyszczą dwoje ciemnoniebieskich oczu jak dwie lampy górnicze. Boże, ileż to burz przemknęło po tych licach, ile deszczów je biło, ile skwaru napiekło! Są one nieco chmurne, rzekłbyś, że ulane z miedzi, ale piękne i pełne życia jak u młodzieńca. Człowiek ten ma na sobie tylko koszulę, spodnie i ciżmy, zapewne dlatego, że jest w domu. Lewym łokciem opiera się o ścianę, prawy trzyma nad bokiem, a nogi na krzyż założył. Tak stojąc, przypatruje się spokojnie trzem mężczyznom, którzy z pełnego, glinianego dzbana popijają wino „goliackie“. Mówi mało, słucha uważnie, czasem zamysli się, niekiedy zaśmieje, a od czasu do czasu pociągnie także potężnie ze dzbana.

— Co się tu u was w Susjedzie tak wszystko poburzyło? — zapytał donośnym głosem smukłego eleganta o czarnych włosach i pociągłej twarzy, który siedząc na stole machał nogami, ażeby można było widzieć jego zgrabne, szpiczaste ciżmy i białe wyszywane spodnie.

— Eh, — odpowiedział zapytany, nasuwając czarną czapkę na lewy bok — przenosimy się, kmotrze llio, to

jest nasza stara przenosi się z swoimi córkami: Zofia, Katarzyną i Anastazyą; ja i kasztelan, pan Franciszek Puhakowicz, zostaniemy w Susjedzie na nasienie. Tak zarządziła nasza miłościwa pani Urszula. Sama odjeżdża jutro lub pojutrze do Stubicy.

— To dziwna rzecz, — ozwał się drugi, chuderławy, mały i suchy mężczyzna, którego głowa podobna była do kosmatéj wierzby, a rude włosy do żółtych drucików sitkowych — to dziwna rzecz, — powtórzył, wytrzeszczając oczy na eleganta i opierając się na obudwu łokciach — że stara sowa dała się wypłoszyć ze swojego gniazda.

— Eh, — odrzekł elegant mlaskając językiem — nawet mój głupi rozum nie może doszukać się końca w tym zmotanym kłębku. Zdaje mi się jednak, że jakiś lis madziański wygryzł ją ze Susjedu. Powiecie, że nie jestem Andrzejem Horwatem, sługą Jéj Miłości pani Heningowej, lecz czarnym cyganem, jeżeli to nieprawda.

— A powiedzże mi, kochany Andrzeju, — ozwał się kmostr Ilia Grzegorzyc — co na to mówią panowie zięciowie?

— Bóg to raczy wiedzieć — odparł Andrzej wzruszając ramionami. — Któż zdoła odgadnąć, czy to podoba się im czy nie. Pan Konijski rozmawiał do późnéj nocy z tym gębatym Madziarem, wysłanym od Batorego, i pięknie ściskali się za ręce przy pożegnaniu; pana Kereczeniego nie ma tu, a Szczepan Gregoryaniec przyjechał niespodzianie z Mokrzcyc, i jak tylko zsiadł z konia, ściągnął porządnie służącego batem, z czego wnoszę, że musiał być bardzo rozgniewany. Słyszeliśmy potem, jak się rozmawiał

ze starą Urszulą i z Konijskim, jak krzyczał i walił pięścią w stół. To krew gorąca już z przyrodzenia.

— Tak, tak — potwierdził wójt berdowiecki, Iwan Horwat, zgarbiony starzec, z przystrzyżonym białym wąsem, odziany w płaszcz niebieski. Dotychczas siedział on spokojnie, oparty obiema rękami na lasce, i patrzył ciągle na drzymiącego psa. — Tak, tak, pan Szczepan to krew gorąca. Wie o tem dobrze całe Podgórze, wiedzą też i Kraincy jesieniccy za Sawą. Od czasu, jak pojał za żonę nasze pannę Martę, klóci się nieustannie z panią na Susjedzie.

— Alboż mu kto zabroni klócić się! — wtrącił chuderlawy Maciej Guszeticz i śmiejąc się, wyszczerzył białe zęby, jak wilk w lesie. — To przecież po pańsku, i panom wszystko wolno.

— Słyszałem gdzieś, — mówił dalej wójt, — że trudno służyć dwom panom, a nasze karki wiedzą najlepiej, że przysłowie to mówi prawdę. Męcę się na tém wójtowstwie już prawie trzydzieści lat, a Bóg mi świadkiem, że nieraz nie wiedziałem na prawdę, czy jestem mężczyzną czy kobietą, tak mi głowę zawracali ci panowie. Ten ciągnie w prawo, tamtem w lewo, że nie możemy ruszyć się z miejsca, a z obu stron spadają kije na nasze grzbiety.

— Nie bójcie się, szanowny panie wójcie, — rzekł śmiejąc się Andrzej — teraz będziecie okładani kijem tylko z jednej strony. Susjedanie i Berdowiczanie należą odtąd do Madziara Batorego, a Stubiczanie do naszej miłościwój staruszki. Ja i pan Puhakowicz będziemy przypatrywali się w imieniu Heningowój, jak madziarskie myszy

gryzą naszą słońcę. Będziemy tylko stali tu jakby na straży.

— A któż będzie rządcą Batorego? — zapytał Guszeticz.

— To ty nie wiesz jeszcze nieboraku Macieju? — zawołał elegant i klasnął w ręce. — Więc nie widziałeś jeszcze sążnistego Grzegorza, pana Grzegorza Dombroja, który przyszedł na miejsce Jerzego Świętosławskiego? Jestto jakiś Międzymurzaniec, i nie poznasz, czy to Kroat czy Madziar, ale po brzuchu widać, że ciężki jak wykar-miony wół... Kmotro Katarzyno, — mówił dalej, zwracając się ku niewieście, pilnujcie waszych gęsi, indyków i prosiąt, inaczej pozjada je wam nowy rządcą Batorego z pierzem i ze szczecina. Jego żołądek to istna torba kwestorska. Wierzcie mi, dotąd nie widziałem nic podobnego. Ów zacny pan Grzegórz pół dnia je, a pół dnia chrapie, a zamiast zaciętym piórem spisywać rachunki, smaruje podcięte wasy śmierdzącym łojem. To będzie piękne gospodarstwo, tak prawie, jakby szarańcza zleciała na gody do Berdowiec.

— A cóż się stało z dawnym rządcą, panem Świętosławskim? — zapytała Katrzyna, żona Grzegorzycy.

— Diabli wiedzą; — odpowiedział Andrzej — gdzieś go wiatr porwał w nocy i teraz nie ma ani śladu po nim. Mówił, że zachorował, że musi jechać do Zagrzebia, i Bóg wie, co jeszcze. Wiemy my, jaka to dziwna choroba, gdy ktoś będąc zdrowym, musi pić gorzkie lekarstwo. Nie mogę jednak pojąć tego wszystkiego. Świętosławski, niech go zły duch porwie, kradł i oszukiwał wprawdzie jak handlarz niewolnikami, ale przecież pracował dla Batorego,

a na przekór Heningowej, której był tak miłym, jak diabłowi krzyż. A teraz Batory go wygania. Dziwne to intrygi, zanadto zawikłane dla naszych rozumów.

— Bądź co bądź, — ozwał się Ilia — tyle wiem przecież, że my włościanie nie doczekamy się rajy pod nowym panem. Szczęście to jednak, chociaż niewielkie, że dawnego rządcę lichy porwało, gdyż był to straszny łotr, prawdziwy rozbójnik, który podług upodobania zabierał nam nasze szczupłe mienie, on i jego dwaj pomocnicy, Janko i Mikołaj...

— Ach prawda, — przerwał mu Andrzej — zapomniałem powiedzieć wam, że i ci musieli się rozchorować i pośpieszyć za dawnym rządcą do Zagrzebia.

— I cóż to lepszego, jakież to szczęście? — zaśmiał się pogardliwie Guszeticz. — Nam z dnia na dzień gorzej! Cokolwiek zasadzisz, zetnie mróz, czego mróz nie zetnie, zabierze Sawa, czego Sawa nie zabierze, zagarnie pan jako daninę, czego pan nie zagarnie, ukradnie rządcą, a jeżeli schował co przed rządcą, to i ostatnią tę okruszynę pożre cło pożuińskie; gdy czas orać, pędzi cię wójt warmegski pod Iwanice i Kopriwnicę szańce sypać; właśnie gdy chcesz zbierać winogrona, zawloką cię do wojska przeciw Turkom, a jeżeli doniesiesz całą i zdrową głowę do domu, zastaniesz dom próżny. Niech wszyscy diabli porwą takie życie!

— Ej, mój Macieju, — zaśmiał się Ilia, podkreślając wasy — wszystko to prawda, coś powiedział; że ciężko żyć i że każdy włościanin ma swoje brzemień, to Bóg widzi; ale mnie się zdaje, żeś ty więcej harbusów nakradł niż jańczarów nasiekał, a dobrzeby było, kochany sąsiedzie,

gdybyś na dłoniach miał więcej guzów, bo nie zaglądałby ci księżyc przez dach, a słońce do ciżmów.

— Patrzenie, co za pan! — zgrzytnął zębami Maciej i zmierzył okiem gospodarza. — Co cię obchodzi mój podarty kabat, kiedyś go nie kupił. Czy jesteś lepszym dlatego, że masz świeżą słomę nad głową? Zebrałeś nieco grosza... ale pamiętaj kmotrze, że jeszcze poraz trzeci nie dzwoniło na mszę! Nawinie się do twój kości jakiś pies pański; moja kaleta próżna, a gdzie nie ma, tam i cesarz nie dostanie. Nie chep się tak bardzo, bo po niedzieli przyjdzie także piątek.

— Nie kłóćcie się! — burknął wójt. — Czy licho was napadło? Ilia dobrze mówi; to szczęście, że Świętosławski odszedł, bo wiem, co mówił o Ilii i on i Nikita Gołubicz. „Niczego tak nie pragnę, jak zobaczyć Ilię na szubienicy“, powiedział rządca.

— I nie trudno odgadnąć, dlaczego — zaśmiał się elegant i zerknął z pod oka na niewiastę. — Pana rządce rozboleły oczy od lic Katarzyny, i poszedł do niej szukać lekarstwa.

— A Katarzyna poparzyła mu ręce wrzącą wodą — dodała niewiasta mocno zarumieniona — gdy chciał przyciągnąć ją do siebie.

— A Ilia wysmarował mu grzbiet kijem — rzekł śmiejąc się serdecznie Grzegorzyc. — Ej, wien ja to dobrze, pan Jerzy byłby mię zjadł za to, że nie jestem żołnierzem, że nie może tak łatwo dostać się do méj skóry, że pani Heningowa mnie lubiła, a pan podban Ambroży ochronił od zguby.

— Mówcie, co chcecie — odciął wręcz Guszeticz —



obróćcie worek na którąś stronę, a nie wytrzęście z niego ani ziarenka czegoś lepszego.

— Ty jeno złe wróżysz, kmotrze Macieju — odrzekł spokojnie Ili. — Czyż jest kto na tym świecie, coby nie wierzył w lepsze czasy? Widzisz, na mnie już niejeden kij się złamał, a zawsze wyszedłem jakoś cało.

— Dobrze, dobrze, — machnął Guszeticz ręką — jeszcze nie wszystko się skończyło. Zapamiętaj to sobie, Ilio, co ci powiedziałem. Daj Boże, abym się mylił, ale moje serce nie przeczuwa nic lepszego.

Tak towarzystwo przed domkiem Ilii Grzegorzycza wynurzało sobie swoje troski i nadzieje, gdy wtém ukazały się w pobliżu dwie osobliwsze postacie, idące drogą pomiędzy drzewami: młoda, zaledwie czternastoletnia dziewczyna wiodła ślepego starca o kiju. Żwawo i lekko stąpało dziewczę bosymi nogami. Było zdrowe i czerstwe, jak jagoda, a lekkie jak ptak. Rumiana, pełna a podłużna jęj twarz, na której malowały się i odwaga i bystry rozum, chwytła od razu za serce, a cała jęj postać sprawiała takie wrażenie, jak powiew letniego wiatru. Czarne, iskrzące jęj oczy spoglądały wesoło na kwitnący świat, dwie czarne jęj kosy spadały na biały kaftanik, wyszywany czerwoną wełną, a biała sukienka, ściągnięta czerwonym paskiem, uwydatniała smukłą jęj kibić. W rumianych ustach miała kwiat głógowy, a na piersiach między koralikami lusterko. Żywo kroczyła drogą, a tak lekko, że tylko brakowało jęj skrzydeł, ażeby ulecieć. Dziewicza pierś jęj podnosiła się szybko, a z oczu żar tryskał. Gdyby nie miała kwiatka w ustach, zanuciłaby sobie pewno, zaspiewałaby jak skowronek. Za dziewczęciem

włókł się o kiju zgarbiony, chudy starzec. Na ogorzałych jego licach, okrytych kosmykami siwej brody, jaśniał taki spokój duszy, co to wszystko przetrwała, wszystko przeboleła, i która nie pyta już więcej o to, czy istnieje jaka różnica pomiędzy szczęściem a nieszczęściem. Pognieciony kapeluszczyk zsunął się starcowi na tył głowy, na plecach miał oprócz tłumaka niezliczonych lat brzemię, a u boku chwiała mu się płócienna torba. Nim jeszcze dziewczyna ze starcem doszła do domku Grzegorzycy, zawołała Katarzyna donośnym głosem z ganku:

— Ej Janiu! Czegóż tak pędzisz z tatuniem, jakby za wami strzelano?

— Bóg zapłać za pytanie, kmotro Katarzyno. Wracamy ze wsi do domu.

— Przecież w domu nie czekają na was Turcy? — ozwała się znów Katarzyna. — Toż wstąpcie na chwilkę do nas; wiem, że Jurkowi nie zaszkodzi kubek wina.

Starzec uśmiechnął się i zamruczał kilka słów.

— Wstąpimy, tatuniu? — zapytała Jania starca, zwracając głowę ku niemu.

— To wstąpmy w imię Boże. Dzisiaj niedziela, a kmotra Katarzyna to pocziwa dusza.

Ojciec i córka zbliżyli się ku domkowi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i matka Boska! — pozdrowiło dziewczę gości, a starzec powtórzył za nią:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — podziękował Ili. — Siadaj, Jurku, siadaj i pij do woli.

Starzec zwrócił głowę w tę stronę, skąd słyszał za-

proszenie, podniósł twarz do góry, jak gdyby chciał się przypatrzeć gospodarzowi, i uśmiechając się dobrodusznie, przemówił po cichu:

— Bóg ci zapłać, Ilio!

Córka zdjęła mu z grzbietu tłumok a z głowy kapelusz i posadziła go na ławeczce, a wójt podał mu dzbanek. Jurko pociągnął dwa razy, mlasnął językiem i oddawszy dzbanek wójtowi, otarł brodę rękawem.

Jania zaś pobiegła skokiem po schodach na ganek do kmotry Katarzyny i przytuliła się do niej, nie zważając wcale na to, że wymuskany Andrzej spoglądał na nią tak, jak gdyby chciał zjeść ją oczyma.

— Jak się masz Jurko? — zapytał Ilija starca. — Nie widziałem cię już od Wielkanocy.

— Jak się mam? — uśmiechnął się stary. — Jak trawie bez rosy, tak człowiekowi bez oczu. Nikt cię nie pęta, a przecież jesteś więźniem, droga przed tobą otwarta na kraj świata, a nie możesz zrobić ani kroku. Nieszczęście to, drodzy ludzie, wielkie nieszczęście, jeśli nie widzi się ani słońca, ani księżyca, ani dnia białego. Nie widziałeś mnie długo; zapewne, bo nie wychodzę z domu. A dlaczego? Kiedy nie masz wzroku, naco pokazywać ludziom swoje nieszczęście? Ale dzięki Bogu przynajmniej za to, że jest przy mnie Jania, moja droga Jania. Już przeszło dziesięć lat temu, jak czarna ospa pozbawiła mię wzroku. Moja nieboszczka żyła jeszcze wtedy, a Jania skakała na podwórzu między kurczętami. Jakżeż szczęśliwym byłem wtedy! Widziałem i słońce i zieloną trawę i żywe twarze ludzkie i Boga na ołtarzu. A teraz już nic, zgoła nic! Żona mi umarła, i nie widziałem nawet

jej grobu; teraz tylko Jania wodzi mię na cmentarz, gdzie dotykam się krzyża, zatkniętego na grobie żony. A Jania, kmotrze Ilio, to prawdziwy mój anioł — stróż! Jęj oczyma widzę, jęj rękami jem, jęj stopami chodzę. Niech ja Bóg błogosławi! Gdyby jęj nie było, umarłbym, albo... Boże odpuść mi... oszalałbym z rozpaczy!

— Ależ ojcze, — przerwało mu dziewczę, unosząc się — pocóż tu przedewszystkiem mówić ciągle o mnie? Jest dość innych rzeczy do rozmowy... A czyż nie jestem waszą córką?

— Nie ma innych rzeczy, nie ma Janeczko! — odpowiedział stary. — Takiej drugieję jak ty, nie znajdzie od Zagrzebia do Berdowiec.

— Dajże pokój, Janiu, niech ojciec mówi — ozwała się kmotra Katarzyna, głaszcząc dziewczynę po twarzy. — Tak się należy. Dobroć nie jest żadną hańbą, a kto starym dobrze czyni, gotuje sobie drogę do nieba. Oby Bóg dał, żeby dzieci twego ojca chrzestnego, Ilii, były takie jak ty.

— Na mój honor, Bóg Wam dał, Ilio, piękną pochrześnicę! — zaśmiał się Andrzej — i zięć Jurka nie przystroi cierniem kapelusza. Słuchaj Janiu, ty masz bystrzejsze oko niż ojciec, czy nie uwieźło ono dotąd w żadnych wąsach jeszcze?

Dziewczyna spuściła oczy i nie odpowiedziała nic na to; ale natomiast rzekła Katarzyna:

— Ej Andrzej, niepoprawny języku! Co Was obchodzi oczy Jani? Czy myślicie, że są lusterkiem dla waszję szkaradnej twarzy? Ta jagoda nie dla Was, proście Boga, by Wam się udało przynajmniej pokrzywę przypiąć

do kapelusza. Widać po waszej mowie, że się szwendacie ciągle między panami i słyszycie nieprzyzwoite rzeczy. Wstydzilibyście się!

— Oj, oj, kmotro Katarzyno, — odrzekł na to spokojnie Andrzej — tak mocno żart mój ukłuł Was w serce? Wielki post minął już, nieszpory skończyły się także, czemużby język nie mógł swobodnie się poruszać?... Ale powiedz mi, Janiu, co pocziesz teraz: nasza pani przenosi się do Stubicy, a z nią także panny Katarzyna, Anastazyja i Zofia, twoja siostra mleczna; do kogóż więc będziesz chodziła na zamek i kto cię będzie obdarzał?

Dziewczyna zbladła, spojrzała na Katarzynę, i łzy stanęły jej w oczach.

— Ja Andrzejowi nie wierzę; — mówiła śmiało — Andrzej co usta otworzy, to kłamie.

— To prawda — przyświadczył Guszetycz, i nie mówiąc nic więcej, patrzył potem ponuro przed siebie.

Dziewczę cofnęło się o krok i wypatrzyło wielkimi oczyma na Katarzynę.

— Tak, tak, kochane dziecię, tym razem Andrzej nie skłamał — potwierdziła smutnie Katarzyna.

Jania nie rzekła nic, tylko chwyciła się ręką za serce.

— Więc pani Urszula się przenosi? — zapytał Jurko podnosząc głowę. — Jakaż to nowina? Dlaczego się przenosi, i kto przyjdzie na jej miejsce? Niech nas Bóg uchwaja od wszystkiego złego... mnie się czerwieni krew przed oczyma! Zasłyszałem i ja coś we wsi, że w Susjedzie będą tylko Batorowie władać, a dawni państwo ustąpią. Mówię wam, dzieci, będzie źle; wiercie mi, sta-

remu, ja to wiem! Przez moją siwą głowę przewalił się już niejedyn zły rok, jak w potoku woda przez kamień, i gdybym chciał policzyć wszystkie czarne dni, jakie przesunęły się nad starym Susjedem, nie starczyłoby na to palców z całej wsi. To wszystko za grzechy Dory!

— Jakiej Dory? — zapytał ciekawie Andrzej.

— Ty ją znasz Andrzej, bo przecież słyszysz na zamku.

— Znam tylko naszą tłustą mleczarkę Dorę z Jakowli — rzekł śmiejąc się Andrzej. — Że zła baba, to prawda. Kilka razy pogłaskała mię diabelnie, gdym chciał zobaczyć, czy ma brwi zrośnięte. Nie sądzę jednak, aby przez tę kobietę mogło na cały kraj spaść jakie nieszczęście.

— Drwij sobie tylko, drwij, ty gołowąsie! — ozwał się znowu gniewnie starzec. — Jak gdyby wiedziała twoja niedowarzona głowa, co się działo dawnymi czasy! To babskie brednie, nieprawdaż?

— Ależ, ojcze Jerzy, ja także nie wiem, kto jest Dora, a jestem tu już prawie dwadzieścia lat i najmniej sto razy byłem na zamku — przemówił Ilia.

— I ty nie wiesz? — zaśmiał się Jurko. — Wy jesteście ślepi, a ja dobrze widzę. Zbliżcie się tylko, a opowiem wam, co słyszałem od starych ludzi... Było to dawno, jeszcze przed moim dziadem i pradziadem, a nawet jeszcze dawniej. Na zamku w Susjedzie wymarł był wszystek ród męski; została tylko jedna dziewczyna... Dora; nazywano ją piękną Dorą, ponieważ była piękna jak biały śnieg i czerwona jagoda, ale serce miała szatańskie, a grzeszną krew, i jak tylko spotrzegła jakiego

młodzienca, czy to był szlachcic czy chłop, przyciągnęła go do siebie i trzymała jak pazurami, dopokąd nie wysąsała krwi z niego, a potem, aby nie mieć świadka swój hańby, potajemnie go truła. W pobliżu Susjedu żyła stara, uboga wdowa, która miała jednego tylko syna, jedynego żywiciela i opiekuna. Był to młodzian silny i piękny; żaden książę w królestwie nie mógł się z nim równać. I tego wypatrzyła Dora. To go zgubiło. Piękny był młodzian, piękna też i Dora. Przywabiła go też łatwo. Gdy krew zakipi w łonie, nie zważa się na to, co szlacheckie a co chłopskie. Jesteśmy ludźmi. Matka napominała syna: „Unikaj téj żmii!“... Ba, unikaj, kiedyś ślepy i głuchy. Ciągłe chodził syn na zamek, codziennie tam bywał. Raz czeka matka do południa, syna nie ma; czeka do wieczora, syn nie przychodzi; czeka do rana, i znów nadaremnie. Mróz przeszedł po niéj. Wiedziała że to żmija gładka i powabna, że ma oczy czarujące, ale jadowite zęby. Idzie na zamek i wpada do Dory... „Gdzie syn mój? — woła — coś z nim zrobiła?“ — Dora się zachichocze. „Głupiec — mówiła — już mi się naprzykrzył. Skreć kark; zabierz jego kości!“ — „Biada! — jęknęła matka. — O hańbo niewieściego rodu! Pocóż cię ziemia wydała! Nie mogę ci nic zrobić, boś można i silna, a ja biedna, stara kobieta; ale Bóg może, który wszystko widzi i słyszy. Widział twój grzech, niechże słyszy i moje przekleństwo: Będziesz szukać męża — obyś go nie znalazła; a znajdziesz — obyś nie miała męskiego potomstwa; porodzisz zaś męskie dziecię — niechaj mu szpik wyschnie w kościach, a córki niech się drą o dziedzictwo, jako wilcy o ścierwo. Niewiasty

niech władną tym zamkiem, a męże niech im go odbierają. Niech będzie przeklętym ten krwawy dwór, przeklętą i ty, sroga tygrysyco. Oby ci Bóg po śmierci nie dał raju, ani też spokoju w grobie. Obyś błądziła po tych nieszczęsnych miejscach, jak nocne straszdyło, i sama będąc przestraszona, była postrachem dla panów; obyś błąkała się przeklęta po swój siedzibie pańskiej, dopokąd pozostanie kamień na kamieniu i dopokąd gniew Boży jej nie zgruchocze!“ — Tak stara kleła Dorze, ale Dora się śmiała. Dora miała dwóch mężów i jednego syna, Iwana, który zaślubił córkę bana. Potem przysłała na Dorę starość i niemoc; szatan z niej wyszedł, krew ochłodziła, ale pozostała jej pamięć, którą przypominała sobie popełnione grzechy, i pozostał robak w sercu, który ją żarł aż do śmierci. Dora płakała, pościła i biczowała się aż do krwi; potem straciła rozum i chodziła szalona po zamku jak straszdyło, aż pewnego razu skoczyła z wieży, z tego samego okna, z którego zrzuciła niegdyś syna biednej wdowy. I jak jej stara kleła, tak się też stało. Syn jej miał pięcioro dzieci; miał dwóch ładnych synów, ale nim broda im porosła, pomarli; zostały same dziewczęta, złe jak szatany, a jadowite jak żmije. Córki darły się o dziedzictwo; przyszli cudzoziemcy, lała się krew... krew poczciwych ludzi. Łupiono, mordowano dokoła, a biedni włościanie napróżno wzywali Boga w swoim nieszczęściu i w swoich mękach. Kiedykolwiek teraz przybędzie nowy pan, kiedykolwiek grozi mieszkańcom zamku nowa strata, zjawia się Dora w nocy, blada i szalona, jęczy i płacze za swoje grzechy, na sercu trzyma złotą żmiję i błaga Boga, ażeby zamek w gruzy zamienił. — Mało kto



zna tę powieść; znają ją starzy gospodarze, ale ukrywają przed światem. Widzieliście ów staroświecki obraz w komnacie pani? Przedstawia on piękną niewiastę. Jakbym ją widział jeszcze teraz. Jest czarno ubrana, nieprawdaż? Na głowie ma złotą koronę, na szyi drogie kamienie, a w ręce jabłko, dar szatana. Gdy zajrzysz w te czarne, słodkie oczy, dreszcz przejdzie po tobie, i stoisz, jakbyś był przykuty... Przypatrz się jój Andrzej, przypatrz!... Otóż widzicie, stara to powieść o tój Dorze. Najmniej sto razy widziałem ten obraz, kiedy nieboszczka żona moja była mamką panny Zofii, a dziś we śnie znów mi się ukazała tak, jak jest na obrazie, i na sercu miała złotą zmię. Jużem był zapomniał o tem, ale gdy teraz przyszedł Madziar do naszej miłościwej pani, i gdy czyścili pokój, spadł obraz ze ściany. Widzicie, Dora się rusza. Mnie mówił to Iwan Sabów w zamku, a na drugą noc widziałem znów we śnie Dorę. Ja wam mówię, że będzie źle!

Wszyscy milczeli, nikt nie poruszył się nawet; tylko kmotra Katarzyna rzekła zeicha: „Boże, zachowaj nas od nieszczęścia! — i wzięwszy Janię za rękę, zaprowadziła ją do izby.

— Ach! — przemówił lękliwie Andrzej — teraz już wiem; więc to jest ów starodawny obraz w pokoju pani Urszuli. Tak jest, Sabów mówił prawdę. Sprzątaliśmy w pokoju, a obraz spadł. Pani się przelekała. Istotnie spadł. Widzisz, nie wiedziałem, że to Dora, i że to imię tak straszne dla wszystkich. Boże, zmiłuj się nad nami!

— Amen — dodał wójt. — Nie wiedziałem dotąd

nie o tem, co Jurko nam opowiedział; ale jakaś klątwa musi przecież ciężać na tym zamku. Nigdy nie ma tam zgody ani spokoju, wieczne swary i procesa, że człowiek wolałby już złożyć swe kości w czarnej ziemi. Mówimy o złych dniach, a tu jeden gorszy od drugiego. Zapyta syn ojca: „Jak było dawniej?” — Ojciec odpowiada: „Źle tak jak teraz.” — Ojciec pytał się dziadka: „Byłeś szczęśliwym?” — Dziadek odpowiadał: „Nie!” — Ja zaś pytam się, czy my będziemy mogli powiedzieć dzieciom naszym coś lepszego, lub czy synowie nasi będą opowiadać wnukom o szczęśliwszych dniach? Ej, mnie się zdaje, że Jurko mówił prawdę, gdyż bez klątwy tak by nie było. Niech nas Bóg ma w swęj opiece!

Guszeticz przysłuchiwał się temu wszystkiemu w milczeniu; tylko czasem pojawiał się na jego twarzy pogardliwy uśmiech. Nareszcie sięgnął po dzban, napił się porządnie i bijąc pięścią w stół, zawołał:

— Głupiście błazny! Jaka Dora! Jakie straszdyło! Jakie czarty! Jakie anioly! Wszystko to brednie tylko, a Jurko był pijany, gdy mu się to marzyło. Straszdyło nie przynosi nam nic złego, tylko ludzie, żywi ludzie, panowie. Wiem to, bo bywałem w świecie. Panowie, panowie, których niewiasta nosiła pod sercem, jak i nas, których kapłan chrzcił, jak i nas, a których diabli wezmą...

— Jak i ciebie — dodał gniewnie Jurko.

— A chociażby! — krzyknął oburzony Maciej, aż żółta twarz jego poczerwieniała. — Gorzej mi nie będzie, niżli tu; bo zaprawdę, gdybym nie wiedział o tem, że mię ksiądz ochrzcił i że śmiem słuchać organów i ka-

zania, to myślałbym istotnie, że jestem jakimś bydłem, a nawet czémś gorszem jeszcze, gdyż i bydłom dają panowie żreć, a my — tu pociągnął znowu ze dzbanka — musimy ogryzać ten goły kamień, który leży na drodze. A wiecie, co jest Dora, która nas bije, nęka i wiesza? To nasza robocizna. Ha, Kraincy, to są ludzie; ci już kilkakrotnie wychłostali swoją Dorę. Byłem tam, i opowiadali mi, jak się to stało. Gdy ucisk niemieckich panów zaczynał im już załazić za paznokcie, uciekli się do „starych praw“... tęgich kijów, które młóciły pańskie grzbiety, a gdy im się udało dostać gdzie do kamiennego chłódka, zapalili panom w piecach, że się nawet w zimie pocili. To mi ludzie!

— Macieju, Macieju! — rzekł Andrzej — wino ci strasznie zawróciło głowę. Powściągnij twój język, bo robi karkołomne skoki. Ja cię pewno nie wydam, ani nikt z nas, ale gdyby jaki pański pies zwietrzył, jak rozprawiasz o starych prawach, poznałbyś, do czego to nie służy konopie!

— To i cóż! — odparł Guszeticz — lepiej zginąć niż żyć jak zwierzę. Powiedziałem ci już, że nie dbam o to wcale, czy mnie licho porwie. A teraz, bywajcie zdrowi ludzie!

I Maciej wstał, wsadził kapelusz na głowę i ruszył drogą ku wsi, zataczając się nieco.

Pozostałym towarzyszom jego było ciężko na sercu; nawet wino nie pchało się już do gardła.

— Czas i nam już do domu, — rzekł wójt — a może Bóg da, że wszystko dobrze się skończy. Bywaj

zdrów, kmotrze Ilio! — To mówiąc, podał gospodarzowi rękę i ruszył z Andrzejem ku wsi; wkrótce potem poprowadziła i Jania starca, śpiewając sobie po drodze.

Dzieci rozeszły się do domu, kotka zalaża do kuchni, a pies położył się pod schodami. Wszystko ucichło, a gdy blask zorzy wieczornéj zamigotał na białém kwieciu drzew owocowych, zamknął Ilija wrota.

---



#### IV.

Jest noc piękna, noc majowa, cicha jak sen. Nie słyszysz nawet ćwierku konika polnego, nie czujesz wiatru na twarzy; nic się nie rusza, tylko gwiazdy migocą na czystém niebie. Na widnokregu jakby szarne obłoki rysują się pasma gór, a z za lasu wyziera nieśmiało księżyc, jakby i jemu żal było, że swoim światłem zakłóca tajemniczy spokój nocy, rozpostarty jakby ogromna zasłona ponad góry i doliny, nad zamkiem i chatami. Dokoła ogarnia cię takie głucho milczenie, że zdaje się, jakby cały świat zaumarł.

Drogą od Zagrzebia ku Susjedowi jedzie wóz chłopski. Konie pogania wieśniak, a na wozie siedzi silny mężczyzna, czarno ubrany, w szerokim kapeluszu. Podróżny wygląda jakby drzemał, a wieśniak to zanuci sobie cokolwiek, to mlaśnie językiem i popędzi konie, to wreszcie milczy i przysłuchuje się, jak Sawa szumi śród ciemności. Dojechali do miejsca, gdzie pod Susjedem stacza się gościniec nadół. Stanęli na szczycie wzgórza. Wieśniak zlął

z wozu, by zahamować koło. Podróżny na wozie wyprostował się i zawołał:

— Co się stało, Ilio? Gdzie jesteśmy?

— Na wzgórzu pod Susjedem, księżo proboszczu; tu droga bardzo spadzista, trzeba więc uważać, żeby nas konie nie zaniosły do Sawy. One są młode i płochliwe, więc cobądź je przestrasza.

— Dobrze, Ilio, zahamuj wóz i uważaj!

Ilia Grzegorzyc zrobił, jak mu berdowiecki proboszcz zalecił, siadł na wóz, ściągnął silnie lejce, i tak ze skrzyżowanymi kołami zjeżdżali pomaleńku z góry. Proboszczowi odechciało się już spać, i gdy potem wóz jechał już wolniej na dole, wdał on się z wieśniakiem w rozmowę.

— Bóg ci zapłać, Ilio, żeś jechał zemną — przemówił uprzejmie. — Miałem nieco do załatwienia w kapitule, ale najwięcej chodziło mi o to, by nakupić lekarstw w mieście. Wszystkie już rozdałem, a we wsi ciągle chorują ludzie. Zeszłej niedzieli po niesporach chodziłem sam do dziesięciu chorych. To była ciężka praca!

— Eh, czemuż nie miałbym jechać z Wami, księżo proboszczu, — rzekł na to wesoło wieśniak — od pana nie miałem żadnego rozkazu, robotę moję w polu jużem także ukończył, dlaczegóż więc nie miałbym Wam usłużyć, kiedy Wy jesteście dobrodziejem naszym, pocieszacie nas biednych wieśniaków i leczycie rany nasze.

— Cóż słyhać u was w domu? Jak się mają żona i dzieci? — zapytał berdowiecki proboszcz, Iwan Babicz.

— Ile nas jest chrzczonych ludzi pod dachem, wszyscyśmy dzięki Bogu zdrowi, a na niemy dobytek nie mogą żalić się także. Żyto dobrze stoi i winogrona pięknie zrodziły. Jeżeli nie będzie posuchy, albo ulewnych deszczów, będziemy mieli piękne żniwa. Mrozów się nie boimy. Ale koło Stubicy ma być bardzo źle. Spotkałem niedawno kmotra, Macieja Gubca, który szedł na robociznę do Mokrzyce, i ten opowiadał mi, że ich straszny mróz nawidził. Wszystkie winogrody mają być czarne. To pewna, że pani Heningowa na gorsze się przeniosła. A nie wiecie, księżę proboszczu, dlaczego właściwie nasza pani odjechała ze Susjedu?

— Nie wiem, mój kochany; nie troszczę się wcale o pańskie intrygi. Tak ma człowiek spokojniejsze życie.

— Prawda — potwierdził wieśniak i popędził konie.

Wtem przybyli do wsi pod Susjedem. Psy zaszczekały po zagrodach, ale w oknach nie było widać ani światelka. Wieśniak odezwał się:

— Ani jednego łuczywa nie widać w całej wsi. Wszyscy siedzą jak borsuki w norach, i to śród lata. Mnie się zdaje, że jeszcze nie ma nawet godziny dziesiątej. Przynajmniej gwiazdy tak okazują.

— A nie ma — odpowiedział proboszcz.

Ilia popędził znów konie, a gdy minęli już wieś Zapraszysze, zapytał się nanowo:

— Ale powiedzcie mi księżę Dobrodzieju, co znaczy ta przemiana? Życzycie dobrze biednym włościanom, jesteście mężem uczonym, więc musicie to wiedzieć.

— Gdybym wiedział, pocziwy Ilio, co znaczy ta zmiana, powiedziałbym ci. Ale mnie pani o niczem nie

mówiła, a prócz tego, ... to mówię tobie tylko ... ona jakoś niechętnie mnie widzi, ponieważ jestem przyjacielem włościan.

— Wiem; — przyświadczał Ilio — ale Wam za to Bóg zapłaci ... i im także — mruknął zcicha.

— Tak jest, zdajmy to na Boga, synu; — mówił spokojnie sędziwy kapłan — trzymajmy się w granicach prawnych, bo tak jest dobrze, a nie pozbywajmy się rozumu i serca, bo to źle. Średnia droga najlepsza. Są i na niej wyboje, ciernie i kamienie; ale czyż znajdzie się żywot śmiertelny bez nieszczęścia? Cicha i poczciwa dusza wie, że wszystko dobre i wszystko złe ma swój koniec na tym świecie, i że nie codzień biją pioruny. Syn Boży niósł swój krzyż, nieśmyż go i my.

— Eh, księżę Dobrodzieju, — rzekł wieśniak kręcąc głową — nadźwigaliśmy się go już i za dwoje ludzi!

— Wiem; — kiwnął głową proboszcz — ale Bóg da, że będzie lepiej. Kto wytrwa, będzie zbawiony.

— Ale ta cierpliwość trwa już cokolwiek zadługo; panowie przerzucają nas z rąk do rąk jak kukurydzę. Każdemu pozostanie w garści trochę ziarn, a my wychodzimy z nich wkońcu jako goły kaczan. Heningowie nie piją wprawdzie naszej krwi, ale wierzcie mi, że lud po wsiach jest czegoś niespokojny.

Byli już na krawędzi wsi Berdowiec, której wieża kościelna rysowała się już wyraźnie na niebie, gdy nagle wypadł z za krzaka jakiś chłop i podniósłszy rękę zawołał:

— Stójcie!

Ilia jedną ręką ściągnął lejce, a drugą sięgnął za



pas, gdzie miał pistolety. Wóz stanął; proboszcz zerwał się szybko.

— Kto jesteś? — krzyknął gniewnie Ilia — Dlaczego płoszysz mi konie?

— Nie sięgaj ręką za pas, — odpowiedział spokojnie chłop — broni nie potrzeba wcale. Nie jestem ani Turkiem, ani zbójcą, lecz poczciwym człowiekiem. Bóg z Wami i Sty Mikołaj, dobrzy ludzie, a nie gniewajcie się, żem wśród ciemnej nocy zaskoczył wam drogę. Odpowiedzcie mi na to, przez miłość Boga, o co was zapytam.

— Mów — odpowiedział proboszcz, stojąc ciągle nieruchomie na wozie.

Nieznajomy podszedł bliżej, a że właśnie księżyc wysunął się z za gór i oświecił go swoim blaskiem, można było dokładnie mu się przypatrzeć. Był wysoki i chudy. Chociaż światło księżyca padało na jego twarz, trudno było osądzić, jaka jej cera. Była podłużna i śniada; z pod orlego nosa zwisały czarne wasy aż na pierś, która wyglądała jak łupina orzecha. Na głowie miał czarny kołpak z czerwoną wstążką, na ramionach jego wisiał kabat, a w czarnych jego oczach migotał dziwnie blask księżyca, który odbijał się również od srebrnych guzików kaftana, od kindżała, pistoletu i cienkiej strzelby, przewieszonej przez ramię.

— Aby Wam rzec prawdę, dobrzy ludzie, — przemówił nieznajomy wojak, czepiając się prawą ręką drabiny wozu — jestem Marko Nożyna, Uskok ze Soszyc, a mój pan, kapitan Józef Turn z Krainy, posłał mię z listem

do pana bana. Nie wiem, co to jest, ale zdaje mi się, że w kraju coś się burzy, chociaż najjaśniejszy nasz cesarz zawarł pokój z Turkami. Wiecie, co to jest turecka wiara, co znaczą tureckie umowy, i że przeto po każdej musimy się oglądać, czy nie pojawi się u nas znowu strzelba turecka. Ale bądź co bądź, ja niosę list wedle rozkazu, a pan kapitan rzekł do mnie, gdym odchodził: „Oto masz list, Marku, zanieś go banowi. Wiem, że ci go nawet diabeł nie wydrze, a cóż dopiero Turk. Ale mówię ci bratku, strzeż się, bo jak list stracisz, pójdzie za nim i twoja głowa.“ Taką drogę mam przed sobą. Ależ dobrzy ludzie, przecież i chart biegiem się zmęczy, a cóż dopiero człowiek. Nim doszedłem do tej wsi, przebyłem niejedno, a tu pomyślałem sobie, że nie mógłbym już iść dalej, jeźliby mnie jaka poczciwa dusza nie przyjęła na noc i spragnionego i głodnego nie napoiła i nie nakarmiła. Muszę powiedzieć Wam i to, że mam w tym kraju wszędzie dość znajomych, z którymi strzelałem Turków pod dowództwem bana. Ale tu, zaledwie kury poszły na banty, tak wygląda, jakby basza bośniński przez trzy dni wieś łupił i wszystek ród ludzki wytępił. Zapukaj tu, zapukaj tam, nigdzie nie odezwie się głos ludzki, tylko psy na ciebie szczekają, jakbyś był ojcem antychrysta. Zaszedłem w krzaki w nadziei, że może Bóg nastęrczy mi jaką dobrą sposobność. Wtem słyszę turkot wozu, i oto Wy nadjeżdżacie; przeto pozdrawiam Was i zaklinam, byście mnie, prawego chrześcijanina, nie zostawili na nocnej rosie. Wierzcie mi, żona i bieda już mię tak namęczyły, że nie dbam o to wiele, kiedy się to skończy. Teraz rozkazał kapitan, i... ale pocóż

trapić się bez potrzeby? To Wam powiadam, a Wy pokażcie, że macie duszę.

Ponieważ Uskok mówił tak szczerze i na Boga zaklinał ich o nocleg, uspokoił się proboszcz i usiadł napowrót; Ilia zaś nachyliwszy się, zapytał nieznajomego:

— Kiedy jesteś Markiem Nożyną ze Soszyc, to powiedz mi, gdzieś wojował?

— Za wiele żądasz; — odparł Uskok — ale powiem ci, że біłem... jest już siódmy rok temu... antychrysta Ferhata pod Jedliną, pod dowództwem Iwana Atopicza i Iwana Lenhowicza. To wydaje mi się godnym wspomnienia; o małych utarczkach na pograniczu nie ma co mówić.

— A kto był twoim naczelnym wodzem? — zapytał znowu Ilia.

— Ogujan Strachinicz.

— Dobrze. A znałeś pewnego wojaka, który ma zagrodę w tej wsi i jest rodem z Liki?

— Znałem, i dobrze znałem; ty myślisz zapewne Macieja Guszeticza? Nie jest on wprawdzie pogromcą, ale szabla jego nie zna miłosierdzia.

— Eh, to nasz człowiek! — rzecze Ilia. — Widzę, żeś mówił prawdę. Guszeticz opowiadał mi niegdyś o tobie, żeś zuch i poczciwa dusza. Siadaj na wóz koło mnie. Przyjmuje cię w gościnę, gdyż i ja niejedną noc krwawy przebyłem pod chorągwią bana. Siadajże, Marku. — Potem zwracając się do proboszcza, dodał: — Nie miejcie mi tego za złe, miłośnicy księże proboszczu; znam tego człowieka już oddawna i z nazwiska i jako dzielnego wojaka.

— Bierz go tylko, synu; — mówił starzec — wyjdzie to na zbawienie twój duszy. Bóg chce, abys głodnego nakarmił, spragnionego napoił, a podróżnego przyjął na nocleg. Zabierz go.

Uskok wskoczył na wóz, a Ilija zwróciwszy się ku proboszczowi, przemówił nieśmiele:

— Wien, księżę proboszczu, że w waszym domu wszyscy już spią, i że ognia tam nie mają, bo sądzili, że dopiero za dwa dni powrócicie. Wiem też, że jesteście również głodni i spragnieni. Otóż, kiedy mi się tak piękna sposobność nadarza, że mogę w imię Boże ugościć poczciwego wojaka, nie obrazicie się może, gdy im Wam skromną moje gościnność ofiaruję. Nie ośmieliłbym się tego uczynić, gdyby nie to, że już nieraz byliście łaskawi nawiedzić moje strzechę.

— Pojadę do was, poczciwy Ilijo — skinął głową proboszcz. — Nasz Zbawiciel nie łamał chleba tylko z bogaczami, ale także pod strzechą nędzarzy. A twój chleb, to poczciwy chleb.

Po tych słowach zajechał Ilija do swojej zagrody. Za chwilę ukazała się Katarzyna na progu. Zdziwiła się niemało, zobaczywszy o tak późnej dobie tak niespodzianych i osobliwszych gości; ale zabrała się wnet do roboty, gdy Ilija jęj opowiedział, kto jest Marko, i że go głodnego i spragnionego znalazł na drodze. Ilija nie mieszkał w komornem, lecz sam ze swoją żoną i dziećmi, i ani on ani Katarzyna nie byli rodem z tego kraju. Przeto gospodarstwo ich było lepsze, a domek czystszy. Goście zasiedli w przestronnej izbie przy dębowym stole ustawionym w kącie; w drugim kącie izby był wielki

gliniany piec. Koło pieca stały dwa szerokie łóżka, dwie malowane skrzynie i warsztat tkarski, a nad stołem wisiały: obraz Śgo. Ilii, strzelba, dwa tureckie pistolety i skórzana torba.

— Odłóż broń, przyjacielu; — rzekł Ilija — dość się ją nadźwigałeś.

— O, nadźwigałem! — zaśmiał się Marko, pokazując wielkie, białe zęby; potem zdjął kabat, położył torbę i pas na skrzyni, a strzelbę oparł o uszak okna; wreszcie wyciągnąwszy się, usiadł koło proboszcza, który spokojnie wsunął się do kąta.

Wtém wynurzyły się z łóżka dwie złote główki, zacierając jak myszki z kryjówki, ale gdy Uskok zaczął się wyciągać, skryły się znowu pod koc. Nic uleżała się jednak trzecia głowa, która wyzierała z za wielkiego pieca. Był to czarnowłosy chłopak sześćioletni, o wielkich czarnych oczach w płóciennj koszuli. Ten założywszy ręce w tył, podszedł do wąsatego Marka i zaczął mu się spokojnie przypatrywać.

— Czyj jesteś, chłopcze? — zapytał go wojak.

— Jestem Szczepan Grzegorzyc — odpowiedział spokojnie chłopczyk, nie mrugnąwszy nawet okiem.

— To niechże cię Bóg błogosławi, synku! A jesteś dobry? Umiesz się modlić?

— Umiem — odpowiedział malec. — A kto ty jesteś?

— Ja, synku, jestem wojak.

— A na co masz strzelbę?

— Abym strzelał Turków.

— Eh, przypatrz się tój strzelbie tam na ścianie;

— mówił chłopak, pokazując palcem na ścianę — i mój tatuś strzelał Turków.

— Chodźże do mnie, synku! — rzekł wojak i chwyciwszy chłopca obiema rękami, posadził go sobie na kolanach. Chłopiec siedział spokojnie; to przypatrywał się w milczeniu długim wąsom Marka, to macał palcami błyszczące jego guziki. Wtem przyniosła Katarzyna wieczerzę, a Ilią dzban wina.

— Idź spać! — sarknęła matka na chłopca. — Czego zawadzasz tu gościom; dla ciebie nie ma wieczerzy, tylko pościel.

— Zostawcie go, kmotro Katarzyno; — przerwał jej Marko, głaszcząc chłopca — niech siedzi tu z nami. Śliczny chłopak, doprawdy, a podobny do matki jak dwie krople wody.

— To cóż ma leżeć na Was, kiedy jesteście znużeni drogą? — rzekła na to Katarzyna, rumieniąc się wskutek pochwały Marka.

— Zostawcie go jednak; i ja mam w domu chłopaka. Oczy ma czarne jak tarki, a zdrów i silny jak dębczak. Gdy tak w zbroi Bożkiej włóczę się po świecie, a spotkam takiego chłopaka, serce mi się uśmiecha, i całuję go, jakby był moim synem. — W oku Uskoka zaświeciła skryta łza, i pocałowawszy chłopca w czoło, dodał: — Nie zrodziła mię matka tak jak was, bym spokojnie patrzył na moje rodzinę, lecz bym po świecie kosił tureckie głowy.

— Zostawcie, kmotrze Marku, Turków i turecką krew, a weźcie się raczej do moich kukurydzianych klusek i do naszego wina.

Marko nie dał się długo prosić, jadł i pił, jak przystało na wojaka; i ksiądz proboszcz szedł za przykładem Uskoka, jak gdyby i jego zrodziła matka góralska. Mówił mało i tylko błogo się uśmiechał; a nawet nie miał kiedy przemówić, bo wino rozwiązało Markowi język, i zaczął żywo opowiadać o Jerzym Sluińskim, o banie Mikolaszu, o Lenkowiczu, i jak się bił pod Wirowityczami, jak dobywał Winodołu, a pod Liką dmuchał Turkom ze strzelby do wąsów i do oczu, jak go turecka szabla cięła pod Jeliną w ramię, i jak drugie cięcie pod Kerbawą twarz mu ozdobiło. Wojak mówił bez ustanku, aż mu chwilami tchu brakło, a pił jak królewicz Marek u karczmarki Jani. Chłopak otworzył gębę i przysłuchiwał się Markowi jakby księdzu. Wreszcie obrócił się roze-grzany Uskok do Ilii:

— Szczęśliwyś ty, bracie Ilio, doprawdy szczęśliwy! Powiedzcie wielebny ojeze, — dodał spoglądając na proboszcza — czy nie jest dobrze Ilii i czy nie siedzi on sobie jak pszczoła w pełnym ulu?

— Bóg obdarzył go szczęściem, wojaku, — odpowiedział proboszcz — ponieważ Ilija jest dobrym i cierpliwym człowiekiem, i potrafi wznieść się nad każde nieszczęście.

— O tak, jak mi Bóg miły! — zawołał Uskok, uderzając pięścią w stół, że aż chłopak się przestraszył — widać to po nim, że poczciwy człowiek. Ale posłuchajno, Ilio, bracie mój po Bogu: twój synek powiedział mi, że strzelałeś Turków. Wszystko wskazuje, że chłopak nie skłamał, bo widzę na ścianie strzelbę i pistolety srebrem okute. To piękna broń. Takiż nie zna-

chodzi człowiek za pługiem, ani się z niej nie strzela wron. Dałbym głowę za to, że ten misterny wyrób miał za pasem jakiś Turek z pogranicza i że go sobie Ilija zdobył w pojedynku.

— Tak też jest istotnie — przyświadczył proboszcz.

— Tak jest, bracie Marku — potwierdził Grzegorzyc, który tymczasem usiadł obok Katarzyny.

— A jak się to stało, żeś porzucił strzelbę a wziął się do pługa, kmotrze? Powiedz mi.

— Kiedy chcesz wiedzieć, to ci opowiem, ale wybacz, jeżeli sięgnę w daleką przeszłość. Nie urodziłem się w tej wsi, musisz wiedzieć, lecz w Rybniku, tam daleko za Dubowcem w posiadłości frankopańskiej. Frankopani nie są dla włościan złymi panami. Nie ma u nich ani bata ani kija; ale Frankopani to junacy, niespokojna krew, która bije się z całym światem, a gdy oni chwycą za szable, to ich włościanie chwytają za strzelby i włócznie. Miałem w tedy dwadzieścia lat, gdy Lika była w mocy pogańskiego Turka i nasi ludzie częto i chętnie zachodzili do niego w krwawą gościnę. Chodziłem i ja także, i powoli przywykłem do strzelby i do noża. Za moją odwagę nieraz starsi mię chwalili. Pewnego razu — było to roku Pańskiego 1535 — zaszliśmy do Obrowiec i uderzyli na Turków, ale wnet musieliśmy się cofnąć. Mało kto z nas uszedł z życiem, a mnie ranionego zabrali Turcy do niewoli. Byłem rosły i silny chłopak. To się podobało Turkom, i wszyscy nuż krzyczyć na mnie: „Wyznawaj wiarę Mahometa, zostań Turkiem!“ — Jestem po matce dobrym chrześcijaninem i nie sprzedam duszy za szeląg. Ale niewola to wielkie



nieszczęście, a niewola turecka to prawdziwa śmierć. Poniewierają tobą, biją cię, usychasz z pragnienia i głodu i nie wiesz, czy jesteś człowiekiem, czy też psem. Było mi ciężko, bardzo ciężko. Cóż miałem począć? Powiedziałem Turkom: „Przystanę do was!“ — Uwierzyli głupcy. Zdjęli mi więzy, nakarmili mię, напоili, dali mi pieniędzy, i jeden z ich mruczających kapłanów uczył mnie, jak wielkim jest święty ich prorok. Słuchałem téj głupiej litanii, jak gdybym był synem samego Mohameta, a na drugi dzień miałem się wyrzec chrztu i zostać Turkiem. Była noc ciemna, choć oko wykól. Wieczorem bawiłem się wesoło, częstowałem Turków, lżyłem — Boże odpuść mi ten grzech — chrześcijańskich panów, piłem, i Turcy myśleli, żem się już upił. Zamknąłem oczy i udałem, że śpię. Ale jak tylko zaczęli chrapać, rozglądałem się, wziąłem małą strzelbę, kindżał i woreczek dukatów. Popęzłem na brzuchu aż do rzeczki Zermanii, a wzdłuż rzeki dostałem się aż do morza. Dałem wiosłarzowi połowę mych dukatów, i on przewiózł mię do Senii, skąd potem dostałem się do kraju. Bywaj zdrów Mohamecie!... Ale nie długo miałem spokój. Musiałem znowu chwycić za broń. Stałem z moim oddziałem w Dubicy. Było to w r. 1538, gdy godność bana piastował Piotr Keglewicz. Panowie Zrińscy, do których należała Dubica, polecili nam, abyśmy się walecznie bronili. Oddział nasz składał się z samych dobranych zuchów, ale było nas zamało, a Turków wielka ćma, dziesięciu na jednego. Pamiętam wszystko dokładnie, jakby to się dziś działo. Kapitan wyprawił nas dwudziestu strzelców zrińskich, byśmy się dostali do lasu nad drogę, którą Turcy musieli prze-

chodźć. Szliśmy śpiewając, chociaż w duszy nie było nam wesoło; głowy nasze były czem innem zajęte. Każdy ustawił się za swoim dębem i zapalił kupkę chrustu, abysmy widzieli, co się będzie działo. Tak trwało do północy. Księżyc wznosił się nad Uną, i ja przypatrywałem się, jak blask jego odbijał się w wodzie. Naraz dał się słyszeć jakiś szum i w dali zaczerwieniło się niebo. Spojrzałem, a na drugim wzgórzu płonął kościół. Po chwili wzniosły się nad drogą tumany kurzu. Nie ma wątpliwości — pomyślałem — Turcy jadą. Ukłąłem za dębem i oparłem strzelbę na kolanie. Wtém wynurzyło się z kurzu kilku jeźdźców. Widziałem dokładnie turbany i włócznie połyskujące w blasku księżyca. Naprzód jechał na wronym koniu ponury młodzian. Na siodle jego wisiały dwie zakrwawione głowy. Serce mi zadrgało, krew zakipiała. Zmierzyłem i wystrzeliłem. Turek wrzasnął „Aman“ i runął na wznak z konia. Strzał za strzałem grzmiał po lesie, i każda kula godziła w oddział turecki. Tu padł koń, tam jeździec. Poganie zaczęli się mieszać, kłać, wrzeszczeć; my staliśmy nieco wyżej, a oni byli wszyscy na koniach. Ale Turków przybywało coraz więcej. Uszykowali się pod wzgórzem, napięli łuki, i deszcz strzał zaświtał ku lasowi. Nad głowami naszymi zatrzeszczały gałęzie i liście posypały się na nas. Strzelili po raz drugi. Trzy strzały utkwily w moim dębie, czwarta przeszyla kark memu sąsiadowi. Wyzionął ducha na miejscu. Nie mogliśmy jednak długo się opierać. Turcy wkońcu zeskoczyli z koni i wrzeszcząc „Aħah“ zaczęli wdzierać się na wzgórze. Pierwszych powaliliśmy na ziemię; ale nadchodzili drudzy, i znowu

inni, coraz więcej i więcej, a drogą walił się już niezliczony ich tłum ku Dubicy. Miałem jeszcze prochu na cztery strzały. Zawołałem na drugich, abyśmy wracali do zamku, i puściłem się ku Dubicy, ale już było zapóźno. Zaskoczyli mi drogę. W lesie pogubili się wszyscy moi towarzysze. Przedzierałem się jakiś czas przez gęste zarośla i słyszałem, jak nas poganie szukali po krzakach. Mamże nędźnie zginać? — pomyślałem. Uchowaj Boże! I ukryłem się dobrze w krzakach. Odtąd słyszałem ciągle strzelanie. Wkrótce zachwiała się i Dubica, i zdobyli ją Turcy. O świcie puściłem się w kierunku Kostajnicy. Cisza panowała dokoła. Wtém przypada do mnie dwóch jeźdźców bośniackich. — „Stój, giaurze!“ — krzyknął pierwszy. Chcę bronić się, ale drugi wytrącił mi już toporem strzelbę z ręki. Potem zamierzył się zaraz, aby mi rozplatać łeb, ale pierwszy ozwał się: „Daj pokój, Jusufie, sprzedamy go jako niewolnika.“ — Zabrali mi kindżał, czapkę, kabat, proch, i tak szedłem pieszo między nimi do Dubicy. Ciężko mi było na sercu. Naraz rzecze ów pierwszy jeździec do Jusufa: „Słuchaj! Musimy na dole w Unie napoić konie; przeto poczekaj i pilnuj giaura.“ — „Dobrze, Ibrahimie — odpowiedział Bośniak, i Ibrahim odjechał. Wyszliśmy na zrab przy drodze. Jusuf zsiadł z konia i zawołał: „Pójdź tu, giaurze, zwiążę ci ręce“ — i zdjąwszy z konia rzemień, przystąpił do mnie. Zmierzywszy go okiem, rzekłem do siebie w duchu: Ilio, doprawdy tyś silniejszy — i coś mignęło mi w głowie. Podchodzę, jakbym chciał ręce nastawić, ale naraz pochylam głowę i rzucam się Turkowi pod nogi. Jusuf przewalił się przezemnie, ja zrywam się

czempredźej, klękam mu na krzyże, wyciągam mu z za pasa kindżał i przebijam go nawskróś. Ibrahim był zanadto daleko, by mógł nas widzieć. Potem zdjąłem z trupa broń, dolman i turban, rzuciłem ciało za gęsty krzak, zasypałem ślady krwi ziemią, wsiadłem na konia i puściłem się galopem ku Kostajnicy. Nagle słyszę za sobą wołanie: „Hej Jusufie! Hej człowiecze! Gdzie jesteś, gdzie jesteś?” — I widzę, jak Ibrahim pędzi za mną. Nie było bezpiecznie, nadstawić mu pleców; zawróciłem więc konia i podjeżdżam ku niemu. Turek zatrząsł się ze złości. Widział turban, widział dolman, widział włócznię, ale nie widział giaura. Byliśmy jeszcze dość daleko od siebie. — „Gdzie masz giaura?” — zawołał. — „Oto jest!” — krzyknąłem i strzeliłem z pistoletu w sam łeb koniowi. Koń się powalił i upadł na jeźdźca. Długo jeszcze słyszałem, jak Ibrahim na cały głos narzekał i kłał; ale ja pędziłem cwałem do Kostajnicy. — Gdy książe Mikołaj Zriński dowiedział się o moim czartowskim figlu, dał mi dziesięć dukatów, dwa pistolety i rozkazał, bym u niego służył. Służyłem też u niego jak się należy; miło to służyć u bohatera, a Mikulasz, bracie, jest bohaterem, jakiego nie znajdziesz między Drawą i Sawą. Z nim broniłem Zrinii, z nim chodziłem pod Peszt. Mój Boże, co to za radość była, gdyśmy szli na Janczarów. Ale muszę powiedzieć, że to bitny żołnierz; raczej zginie, niżli na piędź ustąpi. — Było to w tym roku, gdy książe Mikulasz został banem. My w Zagrzebiu ostrzyliśmy szable, ponieważ nie był on nigdy bezpiecznym od Turka. Pewnej nocy wezwały nas trąby pod broń. Sam ban stanął na czele. Przeczuwałem, że znów poleje się krew,

bo gdy Mikulasz wsiadł na konia, nie było żartu. Służyłem wtedy w jeździe bana. Nie nakarmiliśmy jeszcze koni, a już musieliśmy ruszyć na północ ku Krapinie. U Zapreszyc przyłączyła się do nas jazda styryjska, którą dowodził jakiś długi szwab ze straszną brodą. Po drodze dowiedziałem się od mego wachmistrza, Kowaczyca, że Turcy zajęli Moslawinę, że przeszli już przez Krzyżowiec w dzień Śgo. Jana, i że stamtąd mają pociągnąć na Warazdyn. Ustawiliśmy się pod zamkiem Koniszczynem w pobliżu rzeki Krapiny. Staliśmy na równinie, a za nami był las. Tędy musieli przyjść Turcy, i istotnie przyszli. Wszyscy biliśmy się walecznie i odparliśmy Turków. Na jakiś czas zawarto zawieszenie broni. Jeźdźcy styryjscy wzięli się pierwsi do wina, a za nimi reszta wojska. Na Turków mało zważaliśmy; przeniewiercy ci stali naprzeciw w lesie. Nagle powstał taki hałas i wrzask, jakby wszystkich diabłów wypuszczono z piekła. Turek nas oszukał i naruszył zawieszenie broni.

— A niechże go Bóg pokarze! — zawołał Marko, uderzając pięścią w stół, a oczy zaiskrzyły mu się jak rysiovi. — Nabiliście go za to?

— Diabła tam, — mówił dalej Ilia — oni nas nabili. Nawet nie wiem dobrze, jak się to stało. Widziałem tylko, że Turcy jak mrowie wysypali się z lasu; przyszło im wiele wojska na pomoc. Wskoczyłem na konia i bez kołpaka uderzyłem na wroga. Widziałem tylko iskry, proch, włócznie, szable, strzały, słyszałem huk, a wszystko zbijało się w jeden kłęb, dopokąd nie wpadła pomiędzy nas żelazna kula i nie rozprószyła tłumu. Szabla bana migiała się tylko jak błyskawica.

Wściekłość mię porwała, stałem się dzikim jak zwierzę. Z początku cierpie na człowieku skóra, bo walczy o swoją głowę, ale potem nie zważa już na nic. Nastął bój straszny. Biliśmy się jak lwy, aż naraz — omal żem nie zapłakał — widzę, że nasza piechota zaczyna uciekać. Tchórze! Oby ich Bóg pokarał! Zawracaliśmy ich naszymi szablami, ale napróżno! Porwali i nas ze sobą do lasu.

— A ty? — zapytał Marko.

— Ja nie mogłem myśleć o niczem innym, jak tylko, by się wyratować z tego zamętu. Na nieszczęście ugodziła kula mojego konia. Spadłem, uderzyłem głową o pniak i ległem bez przytomności. Gdym się ocknął, stali już Turcy dokoła mnie. Nie miałem nawet czasu pomyśleć o mojem nieszczęściu. Spędzili wszystkich jeńców do kupy jak bydło i wlekli w okowach przez Dubicę, Banialukę, Trawnik i Drynopol do Carogrodu, gdzie mieszka sułtan turecki. Tam obnażyli nas do koszuli, chłostali biczami, a na pokarm dali tylko kęs czarnego, suchego chleba. Boże, obszedłem niemało świata, ale takiej niedoli nie doznałem nigdzie. Potem zamknęli nas do śmierdzących nór, a rano chcieli nas zawlec na galary. Cierpiałem i narzekałem jak prawdziwy Łazarz. Wtém przystępuje do mnie jakiś turecki dostojnik i mówi po kroacku: „Cóż, ty umierasz już, tchórze!“ — Jakby piorun ugodził we mnie, gdym pośród tej obecnej hałastry posłyszał mowę ojczystą. — „Strasznie osłabłem, panie — odrzekłem — zaledwie stoję na nogach.“ — „Skąd jesteś, giaurze?“ — zapytał. — „Jestem Kroat, szanowny Ago, z posiadłości franko-

pańskiej.“ — Turek zamyślił się i przemówił potem kilka słów po turecku do strażnika. Nie wiem, co mówił, ale wieczorem zaprowadził mię strażnik ciasnymi i ciemnymi uliczkami do wysokiego pałacu. Tu klasnął w ręce, i inny czarny dozorca zaprowadził mię przed owego do stojnika. Odtąd stałem się jego niewolnikiem i miałem pracować w ogrodzie. Zapomniałem o mojem nieszczęściu, zapomniałem, że stoję przed swoim panem; serce mi wezbrało, i zapytałem starca: „Czyż Wy także, zacny Ago, naszego rodu i naszej ziemi syn?“ — Starzec zbladł najprzód, potem poczerwieniał i wskazując ręką, rzekł: „Odejdź!“ — Od tego czasu już go więcej nie widziałem; podlewałem kwiaty za wysokim murem i plewiłem chwast. Boże, piękna to robota dla wojaka! Pewnego razu poszedłem z innymi sługami kupować dla pana różne rzeczy do bazaru. Idąc, zapoznałem się z jakimś majtkiem banackim, który był Dalmatyńcem. Porozmialiśmy się w naszym języku, że dopomoże mi do ucieczki, a oraz dał mi flaszkę wódki, abym resztę sług upoił. Wieczorem miał majtek czekać na mnie pod murem. Upoiłem dozorców, podłożonym nożem porozcinałem więzy i wymykam się za bramę. Dalmatyńiec dotrzymał słowa. Pociemku dowlekliśmy się do jego łodzi, a za dwa dni byłem znowu w domu. Ludzie dziwili się, żem zmartwychwstał. Powiedziałem im, że jestem zupełnie żyw i że doznałem już dość różnych przygód. Do trzeciego razu pomaga Bóg, ale czwarty raz to już chyba sam szatan. Wyzwolilem się tedy z wojska, ale pozostał mi przydomek „zbieg“, ponieważ trzy razy umknąłem z niewoli tureckiej.

— Na moje duszę, tyś lepszy junak niż ja! — zawołał Marko, patrząc z podziwieniem na Ilię. — Szkoda, żeś porzucił strzelbę, bo tacy ludzie nie co dnia się rodzą. Gdybyś też wrócił do niej.

— Eh, poco kusicie mojego męża, Marku? — odparła szybko Katarzyna, chwytając męża za rękę.

— Nie bój się, dobra Katarzyno; — rzekł uśmiechając się Ilię — nabiedowałem się dość w życiu, a teraz chcę spokojnie żyć przy mojej żonie.

Uskok zwiesił głowę i zadumał się.

— A no, — ozwał się po chwili — człowiek to jakby łódka, która pływa po wodzie. Woda rzuca nią na wszystkie strony, i szczęśliwa, jeśli dopłynie do brzegu. Nieprawdaż, ojczyźnie wielbny?

— Człowiek układa, a Pan Bóg kieruje — odpowiedział proboszcz. — Miłość Boska jest wielka i nie opuszcza nigdy dobrego człowieka.

— A jak przybyłeś tu, Iliu? — zapytał Uskok.

— O tak, przypadkiem. Znałem ten kraj już dawniej. W domu, w Rybniku, wszyscy mię odumarli, prócz brata Mikołaja. Ban uwolnił mię od robocizny i pozwolił mi służyć, gdzie zechcę. Przyszedłem więc służyć tu za poleceniem pana podbana Ambrożego; jest temu już lat dziewiętnaście. Dali mi ten domek, a ponieważ mi tu wszędzie było smutno, powiedziałem sobie: „Ożeń się, Iliu.“ I wkrótce nadarzyła się też sposobność do tego. Posłali mię raz państwo do Pisseku w Styryi, a to do domu niejakiego Oswalda, który kupował wino od państwa; tam poznałem poczciwą dziewczynę, terazniejszą żonę moję. Podobała mi się bardzo, i za-



pytałem jej: „Chciałabyś mnie, Katarzyno?“ — A ona zdjęła czarną, styryską sukienkę, a przywdziała kaftan i obuła ciżmy. Takeśmy się znaleźli i takeśmy się pobrali. W ostatki upłynęło dziewięć lat od tego czasu, a nigdy nawet we śnie nie pożałowałem tego, że ze Styryjki zrobił żonę kroacką.

— To pięknie z twój strony, niech Bóg da szczęście tobie i twojej żonie! — zawołał Uskok podnosząc dzban. — Jesteś człek poczciwy, Ilio, i jeżeli chcesz, zawrzyjmy ślub rycerski, bądźmy sobie braćmi.

— Dobrze, Marku — odpowiedział Ilio i podał mu rękę.

— Na rycerskie zdrowie, na rycerską wierność, mój Ilio. Patrz, oto kładę rękę na głowie twego synka i przysięgam na Boga i Śgo. Mikołaja, że chcę ci być bratem w dobrej i złej doli, i bratem twój żonie, a ojcem twoim dzieciom. Moja prawica będzie twoją powiernicą, moja wierność żołnierska, twoją obroną. Jeźlibym cię oszukał, niech Bóg nie da szczęścia ani mnie, ani mojej rodzinie. A ty, ojczu wielcebnym, pobłogosław nas!

— Na Boga, i ja przysięgam ci nawzajem! — dodał Ilio.

— Amen — zakończył proboszcz, i zaćne oblicze jego jaśniało błogiem zadowoleniem, gdy błogosławił starych rycerzy a nowych braci.

---



## V.

W jednym ze starych domów miejskich, naprzeciw klasztoru Klarysek, mieści się dwór księcia Erdoediego. Dnia 1. sierpnia r. 1564 przybył tam bardzo spiesźnie pan Piotr ze swojej wsi, Żeliny. Musiała go sprowadzić tam jakaś sprawa ważna i pilna. Patrząc na niego, można się było tego domyślać. Założywszy ręce w tył, chodzi z chmurnem obliczem i ze spuszczoną głową tam i nazad po obszernej komnacie. Jasne, modre oczy jego wpatrują się ciągle w kamienne płyty posadzki; czasem pogłodzi ręką długą, rudą brodę, czasem podniesie ją aż do krótkich włosów i przesunie po wysokiem, pomarszczoném czole, które teraz mocno jest zachmurzone. Piotr Erdoedi jest to mąż wysokiego wzrostu, o szerokich barkach i poniekąd otyły; ale twarz jego zwiędła już i pożółkła; widać, że przeżył już wiele na świecie. Jest głęboko zamyślony, i z twarzy jego można wyczytać, że jakaś troska go przygniata. Nie zważa na to wcale, że wiśniowy kabat jego jest zaprószony, że niektóre turkusowe guziki porozpinane, a wysokie ciżmy jego ze surowej skóry zabłocone; a nawet

nie widzi swęj żony, która trzymając na ręku chłopczyka prawie trzyletniego, siedzi przy oknie na krześle poręczowém. Jestto niewiasta przeszło dwudziestosiedmioletnia. Jest dość silna, pełna i rumiana, ma kruczy włos, a oczy jęj czarne jak trześnie, ale nie ma w nich życia. Rysy jęj nie są delikatne, czoło nie zapowiada rozumu, ale koło wydatnych ust i krótkiego nosa maluje się coś takiego, co każe się domyślać, że jest dumna, a nawet szorstka. Dlaczegóż nie miałyby być dumną? Jest banową, drugą żoną Piotra Erdoediego, a córką sławnego bohatera Alapica z Wielkięj Kalnicy. Nie jest mądrą, ale zato dość chytrą, jak wogóle córki Ewy. Widać po nięj, że jest banową, magnatką; jakkolwiek właśnie przybyła z drogi, ma na sobie kontusz z czarnego adamaszku, wykładany kunami. Pod kontuszem błyszczcy fałdzista suknia z granatowego atłasu, a z pod nięj wyglądają założone, dość wielkie stopy w szpiczastych trzewikach z żółtęj skóry. Pod szyją spięty jest kontusz dwiema srebrnymi klamrami. Na jednęj z nich widzisz pół jelenia i pół koła, herb Erdoedich; na drugięj, jak żelazna ręka wysuwa się z korony i szablą sięga po gwiazdę — herb Alapiców. Mała, aksamitna czapka, wyszywana perłami, pokrywa bujne jęj włosy. Tak siedzi z pochyloną głową i przypatruje się swemu dziecku, które wydziera się z rąk, nie dbając o to, że matka głaszcze je po złotowłosęj głowie. Mile spogląda matka na synka i uśmiecha się do niego. Twarz jęj jaśnieje radością, bo w dziecku teraz widzi zapewne zakład swojego szczęścia. Ale naraz podnosi głowę, otwiera szerokie usta, i utkwivszy wzrok w bana, odzywa się:

— Panie Pietrze, mężu mój! Co tobie jest? Przecz całą drogę z Żeliny do Zagrzebia nie słyszałam z ust twoich ani słowa, a i teraz chodzisz po komnacie milczący i zadumany, jakby tu nie było twego dziecka i twojej żony. Cóż tobie jest?

— Nie pytaj mnie o to, pani Barbaro — odpowiedział ban, przystępując do niej i pogłaskał synka. — Takie kłopoty nie są dla czepeca niewieściego; na to potrzeba głowy żelaznej, głowy męskiej.

— A czyż żona twoja nie godna zaufania? — spytała łagodnie Barbara. — Zresztą zdanie twoje jest mylne, mój panie! Ty nie wiesz, co to żona. Serce niewiasty nie może być spokojne, gdy widzi u męża czoło zachmurzone, a oko czyta dokładnie w jego duszy, choćby jęj nawet nie oświecił Duch Święty.

— A cóż czyta twe oko? — zapytał pan Piotr.

— Mam mówić?

— Mów, pani banowo — rzekł śmiejąc się ban.

— Przemyśliwasz nad tem, jaki będzie nowy król Maxymilian.

— Poniekąd zgadłaś. A co dalej?

— Gniewasz się na Mikołaja Zrińskiego.

— Nie wspominaj mi o nim — odrzekł ponuro pan Piotr i odwrócił się nagle do okna.

— A widzisz, zgadłam — mówiła żywiéj Barbara. — Gniewasz się na księcia Mikołaja, który wiecznie ci dokucza. Ten lichwiarz, ten kramarz zatruwa ci życie. Czyż nie oszukał cię prawdziwie po hajdamacku? Zaręczył syna swego Jerzyka z córką twoją, Anną, której tytułem tych zaręczyn dałeś na wiano twoje grody madziarskie.

— To sprawa jego nieboszczki żony, Frankopanównej, i nieboszczki żony mojej, Małgorzaty Tahównej, której doradziła to ciocia Jela, siostra Mikołaja. Ja potrzebowałem wtedy pieniędzy.

— I jakież był koniec tych intryg babskich? Twoja Anna została na lodzie, Jerzyk zaślubił niemiecką pannę z Arku, a Mikołaj nie zwrócił ci nic z podarowanych grodów i jeszcze zapłatał cię w proces z Gregoryanćcem.

— Dajmy temu pokój, Barbaro; — odpowiedział ban — to stare rzeczy, i o nie głowa mnie nie boli; zresztą pojednałem się już ze Zrińskym.

— Językiem, ale nie sercem — dodała uszczypliwie Barbara. — Mnie jednak boli o to głowa, mnie, ponieważ przeto ja i moi synowie, Piotr i Tomasz, jesteśmy pokrzywdzeni. Czyż nie chciał ten zachłanny Mikołaj odebrać mi i Cesargrodu, któryś mi przed czterema laty zapisał? Poczekaj tylko jeszcze zjaki miesiąc, dopokąd Mikołaj nie zaślubi obrzydliwej Czeszki Ewy Rosenberkównej, która ma mieć praskich groszy na fura. Zobaczysz, jak wtedy będzie się nadymać ten pan ozalijski. A czyż i Gregoryanćc nie sroży się dotąd na ciebie?

— To prawda; — odpowiedział pan Piotr — nigdy nie zapomnę tego księciu Mikołajowi, że wystawił na hańbę moją krew, córkę Bakaczów, i nie sądzę, by się obadwa rody nasze kiedy z serca pojednały. Jestem jednak dość silnym, by upokorzyć Gregoryanćca. Tém wszystkiem nie kłopoć się wcale. Ale nienawidzę Mikołaja, ponieważ nieustannie włazi mi w drogę, a nadto jeszcze tak sobie poczyna, jak gdyby nie uznawał mnie za bana. Był banem, i zrzekł się haństwa. Był królewskim hetmanem,

i tego zrzekł się także. I król Ferdynand bał się go nawet. Zabił Kocyanera, i nie stało mu się nic za to. Turcy sami nałgali przed królem, że go byli przekupili. Nie wierzyłem temu, ale spodziewałem się, że król już dla samój nieufności uszczupli mu swój łaski; ale znowu nic mu się nie stało, a nawet zyskał całe Międzymurze. Zeszłego miesiąca umarł Ferdynand; syn jego Maxymilian zwołał, jak słyszę, radę potężnych stronników do Pożunia, by się naradzić z nimi nad bliską wojną z Turkami. I myślisz, że wezwał mnie, bana? Nie wezwał. Mikołaja wezwał, znów Mikołaja, który jest „chrobrym, sławnym i wielkim.“ Człowiek ten niby coś robi i nie robi; zawlecze się gdzieś do swojego grodu, odrzuca wszelkie dostojęstwa, drwi z króla, a potem naraz zrywa się, rozrzuca pieniądze, bije Turków i świat go sławi. Mikołaj postępuje z królem jak dziewczyna, która się droczy i chowa przed kochankiem, ażeby go jeszcze więcej rozmiłować. Stoi mi w drodze, powiadam, odgrywa ze mną komedya, a ja nie mogę mu nic zrobić, bo jest silny i ma silne stronnictwo.

— A czyż nie można rozbić tego stronnictwa? — zapytała Barbara.

— Trudno, ale można. Będę próbował.

— A jak? — spytała ciekawie banowa.

— Mikołaj poróżnił się na śmierć z Tahim, swoim teściem. Tahi ma wielu stronników, ma przyjaciół na dworze królewskim; on połączy się pewno ze mną i pomoże mi. Dla niego też przybyłem teraz...

— Dla niego? — rzekła zdziwiona małżonka.

Piotr chciał już odpowiedzieć, ale naraz zwrócił głowę

ku drzwiom, za którymi słyhać było głośną rozmowę. Wszedł sługa i oznajmił, że pan podban i jakaś niemłoda pani pragną się widzieć z panem banem.

Pan Piotr zachmurzył się nieco i rzekł ostro:

— Powiedz, że nie mam czasu... nie, że nie mogę, że mam pilne zajęcia... Nigdy, nigdy!

Ale w téj chwili otworzyły się drzwi za sługą. Do komnaty wszedł wysoki, piękny starzec, łysy i zachmurzony, z długą, siwą brodą, a poważnym i dumnym obliczem. Odtrącił służącego na bok i postąpił naprzód, a za nim szła pani Urszula Heningowa, z gniewną, bladą i zapłakaną twarzą. Pan Piotr drgnął i pobladł.

— Szanowny panie banie! — przemówił starzec spokojnie i dobitnie — chcecie nam wybaczyć. Słyszałem, że macie pilną sprawę do załatwienia; ale nie będzie ona pilniejszą od téj, z którą my przychodzimy. Stało się coś niesłychanego, prawdziwe łupieżtwo. Ban jest w naszym kraju namiestnikiem króla; ban musi wysłuchać zażalenia w każdej porze; pilniejszej sprawy nie ma nigdy.

Ban ściągnął brwi i spojrział gniewnie na starca. Starzec podniósł dumnie głowę i założywszy ręce za srebrny pas, którym opięty był czarny płaszcz jego, patrzył spokojnie na bana.

— Czego żądacie, panie Ambroży? — zapytał pan Piotr poważnie podbana, gdy tymczasem żona jego lekliwie spoglądała to na starca, to na jego towarzyszkę.

— Dla siebie nic! — odpowiedział Ambroży Gregorjaniec. — Jestem zastępcą Waszój Dostojności i przyprowadziłem do Was tę szlachetną niewiastę, a ta ma wiele do żądania...

— Ta ma wszystko do żądania — wyjękła Urszula zaledwie dysząc z gniewu. — Wszystkiego żądam, banie, ponieważ nic nie mam. Zapewne wiecie, kto jestem.

Pan Piotr skinął głową i rzekł półgłosem:

— Mówcie, pani Heningowa.

— A no, będę mówiła, Bóg widzi! — zawołała podniesionym głosem Urszula, kładąc rękę na wzburzonej piersi. — Nie wiem prawie, od czego mam zacząć i co mówić. Jakby żmija ścisnęła mi serce, tak jad i żółć je dusi i ścisza za gardło. Wybaczcie! Jest to grzech, hańba do nieba wołająca! Wy jednak wysłuchacie mnie, nieprawdaż? Musicie wysłuchać, bo jesteście banem, bo jesteście szlachcicem, bo jesteście człowiekiem. Musicie mnie wysłuchać, bo jestem niewiastą, wdową, matką... a potrafiłabym także być lwicą. Posłuchajcie mnie, proszę Was! Gdy Was kto w lesie napadnie i zedrze Wam złoty łańcuch ze szyi, rzekniecie: „To rozbójnik, to jego rzemiosło; gdy go schwytają, powiesimy go na szubienicy.“ Gdy w zimie głodny wilk Was zaskoczy, powiecie: „To dziki, drapieżny zwierz, taka jego natura“ — i strzelicie mu kulą w łeb. Gdy w czystym polu napadnie Was wściekły Turek, powiecie: „To nieprzyjaciel krzyża i mej wolności“ — i rycerską szablą rozplatacie mu głowę. To wszystko naturalne, całkiem naturalne. Ale cóż powiecie, gdy człowiek, chrześcijanin, omami biedną rodzinę Judaszowym pocałunkiem, gdy najwyższy sędzia naruszy zawartą z wdową umowę, skrzywdzi ją, znieważy, a starodawny herb swój splami? Co powiecie, gdy magnat już siwobrody, który przy królu sztandar krajowy nosi, wpadnie potajemnie jak rozbójnik wśród ciemnej nocy i wy-



rzuci biedną wdowę, nieszczęśliwe dzieci z dawnego dziedzictwa na gołą ziemię, na twarde kamienie bez żadnej litości? To nie jest rzecz naturalna, to nie ludzki już, to zwierzęcy, to diabelski czyn. Cóż odpowiecie na to, panie banie, co?

Piotr Erdoedi milczał.

— Widzę, że mnie nie rozumiecie — mówiła dalej Urszula. — Mówię niedorzecznie, zaprawdę. Język mi się płacze, straciłam rozum. Ale jak nie miałam stracić? Odebrali mi nawet wiarę w Boga. Przypominam sobie. Tak to było: Batory zawarł ze mną umowę; o tem wiecie zapewne?

— Wiem — odpowiedział spokojnie ban, patrząc na rozdrażnioną niewiastę.

— Wedle umowy przeniosłam się do Stubicy; i to wiecie?

— Wiem.

— Otóż posłuchajcie! Przez jakiś czas gospodarowało się spokojnie, jak było w umowie. Byłam szczęśliwa, że mam spokój, ale byłam głupia, żem wierzyła. Jest temu prawie tydzień, gdym z dziećmi pojechała w odwiedzinę do Brzezowic. Mieszka tam pan Gregorjaniec ze swą drugą żoną, Dorą Mrujawicówną, teść mojej córki. Wracając przybyłam do Zagrzebia. Naraz przybiega błądy i przestraszony zięć Szczepan i woła: „Łotry, niech ich pioruny zatrzaskną, okradli Was i złupili. Dowiedziałem się, że Batory potajemnie sprzedał Tahiemu dobra, swój i wasz dział. Podstępem usunęli ludzi waszych ze Stubicy. W nocy przyszli kanonik Świętosławski i sędzia Mojżesz Humski i wprowadzili Tahiego w posiadanie całego grodu. Wasze rzeczy wyrzucili precz.

Nikt temu nie przeszkodził. Tahi siedzi w waszém dziedziectwie. O tém wszystkim dowiedziałem się w zamku księcia Konijskiego.“ — Tak mówił zięć Szczepan. Zaćmiło mi się przed oczyma. Krzyknęłam: „Zięciu, czyś zgłupiał? Ty kłamiesz!“ — i mimowolnie rozśmiałam się na głos. Ale nie było to kłamstwo, lecz czysta, święta prawda. Siadłam na wóz i pojechałam czempredzėj do Susjedu. Patrzej, a z wieży powiewa chorągiew... nie Batorych ani tėj Heningów... lecz czarny lew w błękitném polu; a Wy znacie ten sztandar: to proporzec waszego pierwszego teścia. I gdym podeszła do zamku, gdym zapukała do bramy, ukazał się w oknie ów szatan Piotr Petryczewicz i zawołał: „Idźcie z Bogiem, pani! To gród miłościwego pana, Franciszka Tahiego, a ja jestem jego kasztelanem.“ Bramę zamknięto, a tuż koło niėj zastałam zranionego sługę mojego, Andrzeja Horwata, którego Tahi z zamku wyrzucił. Ten potwierdził to, co mi Szczepan mówił. Zawrzało mi serce, ale milczałam. Cóż zdoła niewiasta z trzema dziewczętami wobec obronnego zamku? Pojechałam potem w nocy do Stubicy, do mojej Stubicy. I znów zakrzyczano do mnie z zamku ze śmiechem: „To gród Tahiego!“, a cały mój dobytek leżał już przed zamkiem pod gołym niebem. Nie miałam już domu, nie miałam schronienia, ani tyle nawet, co ostatni mój poddany. Boże! Straszny grzechem obciążylałam duszę. Przeklełam ów dzień, przeklełam noc, przeklełam świat, przeklełam wszystko. Oh, nie daj Wam Boże, by dzieci wasze dożyły takiej nocy. Mnie lada wiatr nie zegnje, ale ten cios jak grom poraził duszę moje. Pan Jerzy Raszkaj przyjął mię na noc, od niego przeniosłam się do

zięcia Szczepana do Mokrzyca, a dziś przychodzę do Was, panie banie, i błagam: Wróćcie mi zabrane dziedzictwo, dajcie przytułek wdowie, brońcie sierotek, sądźcie szybko mieczem i pokażcie, że jest jeszcze święte prawo na świecie, i że żarłoczny zwierz nie śmie wydzierać biedakom z ust codziennego chleba. Banie! w imieniu tego królestwa Sławońskiego oskarżam Tahiego przed Wami jako rozbójnika, a Wy sądźcie go według prawa!

Wyschłe gardło niewiasty nie przepuszczało już głosu. Drząc od stóp do głów i przyciskając silnie ręką wzburzone piersi, stała Urszula przed banem. Twarz jej pałała, usta drgały, oczy chwilami iskrzyły się, a obok niej stał jak posąg podban Ambroży; wreszcie zabrał on głos:

— Wszystko, co ta szlachetna pani mówiła, jest szczerą prawdą; ręczę za to moim honorem.

Milcząc patrzył ban w ziemię; wkońcu przemówił:

— Być może; wierzę, że to prawda. Pan Tahie nie postąpił rozumnie. Ale chwała Bogu, mamy w tém królestwie sądy i prawa, a sędzią w zastępstwie króla jestem ja. Teraz jednak nie ma sądu, a Wy, szlachetna pani, musicie udowodnić to, coście właśnie mówili. Proces musi być przeprowadzony drogą prawną. Przedewszystkiem potrzeba wyświecić, o ile książe Batory naruszył prawo, a o ile nie naruszył. Muszę powiedzieć Wam i to, że sędzia królewski nie podlega sądowi bana. Wszystko to potrzeba wziąć na uwagę.

— Urszula cofnęła się o dwa lub trzy kroki, otworzyła szeroko oczy i utkwiała wzrok w bana; sędziwy Ambroży zmarszczył czoło.

— Więc taka sprawiedliwość wasza, taki wasz sąd? To ja mam wszystko udowodniać? Czyż potrzeba dowodzić, że słońce świeci na niebie? A jak dalece Batory miał prawo? Zapytajcie rozbójnika, jakie miał prawo zabić człowieka! Proces prawny! O wiem, co to znaczy. Znam wasze drogi sprawiedliwości. Są one kręte, długie i wąskie, a za każdym krokiem zieje przepaść. Proces prawny mówicie, kroacki banie? Czyż dla rozbójnika potrzeba innego procesu, niż szubienicy? Prawne wasze wyświecanie sprawy trwa sto lat, a tymczasem możemy poumierać z głodu ja i moje dzieci — zawrzała Urszula i zakryła rękoma zapłakane oblicze. — Ale ja powiem, Wam banie, — dodała prostując się nagle — że mówicie fałszywie! To nie są słowa kroackiego bana, lecz Tahowego zięcia, to nie jest sprawiedliwość prawa krajowego, to gwałt, to dowód wiarołomstwa, to zbrodnia, której i Wy spółwinnym się stajecie...

— Pani Heningowa! — krzyknął oburzony strasznie Erdoedi, i twarz jego przybrała purpurową barwę — trzymajcie język wasz za zębami i pomnijcie, że przed Wami stoi namiestnik królewski, i że w jego osobie obraziliście także króla.

— Nie lękam się Was, banie mój! — odparła na to ze złością Urszula, wznosząc pięść do góry. — Oślaniacie wedle upodobania osobiste intrygi płaszczem królewskiego majestatu... nie lękam się Was! Ja zedrę Wam tę maskę obłudy i wstrząsnę filary waszych praw, ażeby widziano, że wasze prawa rdza pożarła, a wasze sprawiedliwość robak stoczył. Bijecie Turków dla świętego krzyża, a sami krzywo przysięgacie, sami jesteście

Turkami! Czego się wzdrygacie? Banie Pietrze, bezprawie wasze spadnie na Was, na waszą żonę, na wasze dzieci...

W tój chwili targnęła sobą banowa i przycisnąwszy silnie dziecko, cała pobladła. W oczach jój zapłonął straszny ogień.

— Za to życzenie niech Wam język uschnie, pani Heningowa! — krzyknęła na Urszulę.

— Dość tego! — zagrzemiał pan Piotr, przystępując do Urszuli. — Mówiłem, że tu nie ma sądu. Wnieście skargę, jak prawo przepisuje. Adwokata macie. Pan Ambroży, to doświadczony prawnik.

Podbanowi ściągnęły się brwi, a twarz poczerwieniała. Przemówił jednak spokojnie i szczerze:

— Dostojny namiestniku królewski! Pani Heningowa mówiła prawdę. Tu nie ma wątpliwości, bo bezprawne zabranie majątku, to zbrodnia. Banie! Nie chceciez udzielić pomocy tój wdowie?

— Tylko w drodze prawa; — odrzekł sucho ban — to wszystko, co mogę Wam powiedzieć, panie adwokacie!

Ambroży drgnął, nozdrza mu się rozszerzyły, usta zacisnęły. Chwilę milczał, a potem rzekł znowu:

— Przekacny panie banie! Dobrze, będę adwokatem, bo widzę, że wasza prawda i sprawiedliwość kuleje. Ja Wam to mówię, podban to mówi. Pokrewieństwo zaćmiło Wam oczy. Biada ziemi, biada narodowi, gdzie podłe oszustwo, oczywisty rozbój śmie się ukrywać pod zasłoną prawa. Bądźcież sobie księciem Piotrem Erdoedim, niech wasza buława miota pioruny; ja schwyce ją i strza-

skam, ażeby nie hańbiła już szlachectwa, ażeby ta ziemia, tylekrotnie już ciężko nawiedzana, nie stała się pastwem pańskiej chciwości!

— Cha, cha! — zaśmiał się ban i zbladł śmiertelnie. — Patrzcie, z Niedźwiedziogrodu wylazł stary wilk, spółnik Mikołaja Zrińskyego; ale niech się ma na ostrożności były łukawiecki kasztelan przed moją żelazną pięścią!

— A no, spróbujemy się — rzekł Ambroży — i ja mam nadzieję, że na sprawiedliwym polu walki pomści stary wilk skalaną sprawiedliwość.

— Tak jest, Bóg świadkiem — krzyknęła Urszula i zwróciła się ku drzwiom. — Bywaj zdrów, banie!... a przygotuj się, bo moje zęby żelazne.

— Z Panem Bogiem! — zawołał ban. — Piotr Erdoedi nie boi się ani babskich pogrózek, ani klątwy starca.

Ambroży i Urszula wyszli spiesznie z komnaty, a pan Piotr rzekł zcicha do żony:

— Ha, strzał już zagrzmiał. Wiedziałem, że się zanosi na tę burzę. Ale Tahi jest mój, a ja pokażę tój tchórzliwej szlachcie, że banem jest Piotr Erdoedi, niech będzie, co chce, i choćby nawet krew pocięła.



## VI.

Prawie na odległość strzału za górnostubickim kościołem w kierunku wsi Gołubowic stoi, rzekłbyś oparty o wzgórek, mały domek, o którym trudno powiedzieć, czy jest włościański czy szlachecki. Jest zbudowany z cegieł, a pokryty gontami. Za nim na stoku wzgórza zieleni się winnica, z boku za krzakami jest stajnia, szpichlerz, tłocznia, a przed nią stacza się wzgórze do drogi. Nierówny dziedziniec ogrodzony łątami, po których wije się winna latorośl. Miejscami zasiane są słoneczniki i mak, obok domku wznosi się jasion, przed nim rozpostarł swe konary stary orzech.

Już dawno minęło południe, słońce chyli się ku zachodowi, po jarach stubickiej góry ścieli się zmrok, tylko na jej szczycie igrają jeszcze złote promienie słońca. Na ławeczce pod orzechem siedzi niemłody już człowiek i ociesuje jarzmo na woły. Prawdopodobnie jest to gospodarz tego domu, ale trudno osądzić, czy to poddańczy włościanin, czy też kmieć wolny. Chcesz poznać go po odzieniu? Niepodobna; tak nie ubiera się pod-

dańczy włościanin. Miał na sobie porządne sukienne spodnie, ciżmy cienkie, szpiczaste i połyskujące, u ciemnego kaftana błyszczał gęsty rząd srebrnych guzików, na szyi miał czerwoną, jedwabną chustkę, a na głowie czapkę kunową. Chciałbyś rozpoznać go z twarzy i postawy? To byłoby jeszcze najłatwiej. Jest słusznego wzrostu, zbudowany silnie jak dąb, o żelaznych muszkułach, szerokich, ramionach, a piersi takięj, że starczyłaby dla dwóch osób. Na wielkięj głowie jego rozczesane są włosy na dwie równe połowy nad czołem, czoło sklepione, u dołu węższe u góry szersze, a na niem rysują się równoległe dwie lub trzy zmarszczki. Oko jego płonie szczególniejszym blaskiem. Podłużna i dość szeroka męska twarz jego, jest ogolona, śniada i spokojna; nie porusza się na nięj żadna żyłka, jak u człowieka, który wiele myśli, mało się gniewa, a niczego się nie lęka. Pod nosem tylko sterczą dumnie podstrzyżone wąsy.

Człowiek ten, zajęty całkiem swoją robotą, nie zmienia twarzy nawet wtedy, gdy twarde drzewo stawi opór ostręj siekierze. Ale przecież, chwilami można dostrzec, jak oblicze jego się marszczy, jak gdyby o czémś ważném przemyślał. Niekiedy uśmiechnie się mile jak niewiasta, ale wnet przybiera znowu poważny wyraz i oko jego zasępia się, jak kiedy człowiek szlachetny uczuje naraz głębokı żal w sercu. I wtedy zaczyna znów mocnięj ciosać, jak gdyby chciał pracą rozpędzić smutne myśli. Jestże ten człowiek kmieciem czy szlachcicem? Jeżeli nim nie jest, to na wszelki sposób musi być szlachetnym.

Naraz położył siekiere i spojrzął ku Stubicy, skąd



szybkim krokiem nadchodził młody, smukły i czarnowłosy chłopak wiejski. Widocznie było mu spieszno. Wrzedł na dziedziniec i przystąpił do gospodarza.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał.

— Na wieki wieków! Cóż to ma znaczyć, Jerzy? Czemu się tak spieszysz, że zaledwie dyszesz? Czy przyszedłeś do mnie? — zapytał go gospodarz.

— Tak jest, kochany wuju. Poczekaście, aż się opamiętam... Czy wiecie, co się stało? Ten przekłety...

— Usiądź sobie, Jurciu, i opowiedz.

— Ach, wuju, to chyba sam diabeł sprowadził nam nowego pana. Boże zmiłuj się. Posłuchajcie. Czy znacie tę biedną wdowę, Katarzynę Maryszycową ze Zaprzyszyc?

— Znam.

— Ma pięcioro drobnych dzieci na karku. Męża jój zawlekli na wojnę i tam go Turcy zabili. Pracuje, męczy się nieboga, i wszyscy ją znają jako poczciwą kobietę.

— I cóż?

— I przyszedł Tahiego sługa, Piotr Bośniak, oby go Bóg pokarał! Donosił a szeptał ten antychryst pani Tahowej, że Maruszykowa przemawia za dawną panią, a przeciw nowemu państwu. Prawda, że pani Marta i panna Zofia przychodziły często do téj wdowy i hojnie ją obdarzały; ale żeby miała ona wygadywać na panią Helenę, to nieprawda. Jakby nie miała co innego na głowie! Ale kłamstwo, to jak chwast; gdzie nasionko padnie, wyrośnie z niego cały las. I co się stało?

pomyślcie wuju! Pani Helena i nowy ten nasz pan uwierzyli nikczemnym plotkom Piotra na nieszczęście Maruszycowej. I oto przyszedł dziś do niej do Zaprzeszyców Piotr ze zgrają takich samych drabów jak on. „Ja ci dam panią Urszulę!“ — krzyknął z szyderczym śmiechem — „zobaczysz, kto jest twoim bożkiem, pogańska komornico!“ — i grzmotnął wdowę pięścią w kark, że padła twarzą na ziemię. Zbóje, powywalali drzwi i wrota, zabrali żyto i kukurydzę, porwali karmne woły, które dostała od dawniej pani. Ale nie koniec na tem. Rozbili także piwnicę i zabrali wino. Nieboga, siedzi teraz na kamieniu przed chatą i płacze, i dzieci płaczą, aż się serce kraje.

— I to prawda? — zapytał zdziwiony wuj, Maciej Gubec, i zerwał się blady.

— Szczera prawda, wuju, jak mi na imię Jerzy Mogaicz; szczera prawda, jak to, że nie mam ani ojca ani matki, i że Wy, kochany wuju, od dzieciństwa mego jesteście moim opiekunem i żywicielem. Byłem dziś w Zaprzeszycach, widziałem biedną wdowę i lży pociekły mi z oczu. Czy ci panowie nie mają Boga w sercu? Pospytajcie się tylko Zaprzeszyców, Grzegorza Zdelara, Szczepana Jelakowicza i starego Macieja Jabczyca. Ci Wam to lepiej opowiedzą, gdyż patrzyli na to własnymi oczyma.

— Patrzyli własnymi oczyma? — rzekł na to żywo Gubec — a cóż robili własnymi rękami?

— Cóż mieli robić! Wprawdzie mruzcili i srożyli się. Ale co to pomoże? Wkrótce przyszedł do wsi oddział zbrojny z ostrymi włóczniami. Usadowił się

u wójta, pił całą noc, rozbijał dokoła, a wójt milczał. Boże mój! Takie gwałty!

Gubec zwiesił głowę i spodnią wargę przygryzł zębami.

— A takie okropne wieści, wuju, dochodzą także i z innych stron. Stary Tah, to prawdziwy szaleniec. Kto nie przyjdzie przed świtem do tłoczni, biją go przed zamkiem kijami, a jeżeli spóźni się cokolwiek dozorca, zakuwają go zaraz w dyby, i musi cały dzień prażyć się na słońcu. I Mateuszowi Mandyce w Berdowcach zabrali chatę i winnicę i wygnali go potem ze zagrody kijami jak psa.

— Oh! — westchnął gniewnie Gubec.

— Źle, wuju, źle. A pani lęka się teraz, że będzie jeszcze gorzej, i że kto tylko słówko piśnie, utraci głowę. Szpiegują na wszystkie strony, pod Susjedem, w Tergowinie, Jakowli i po innych wsiach, kto jest wiernym dawniej pani, i tych czekają baty. Ten stary łysy Tah, to istny szatan, a jego pani Helena także rogata. Biedny sługa kościelny miał jedyne prosiątko; pani Helenie zachciało się wieprzowej pieczonki, zabrali mu więc tego ostatniego podświnka i zagnali do zamku. Najsroższym zaś jest młody pan Gabryel. Strzela z rusznicy do chłopskich krów i koni, i ma zawsze ze sobą sforę psów, które szczuje na włościan. Dziś byłyby rozszarpały starego Jurka z Berdowiec, gdyby ich moja Jania nie była odegnała kijem.

Gubec skrzyżował ręce i stał nieruchomy. Ciężkie myśli zasepiły mu czoło, a w jego piersiach jakby groźna toczyła się walka.

— Jednak, kochany wuju, — mówił dalej nieśmiało młodzian — ja przyszedłem do Was także we własnej sprawie; i nademną bowiem ściągają się jakieś chmury, chociaż nie jestem poddanym, lecz wolnym kmieciem.

— Jakie chmury, Jerzy? — spytał Gubec podnosząc głowę.

— Proszę Was, wuju, czemu nie poszecie już raz swatów do mojej Jani?

— Nie bój się, poszlę ja — uspokajał go Gubec.

— Ach, drogi wuju, „poszlę“ to zwodnicze słowo. Że ja nie wyrzeknę się Jani, wiecie bardzo dobrze; i ona przyłgnęła sercem do mnie, a Wy nie macie nic przeciw temu. Nic złego nie słyszeliście ani na mnie ani na nią. Moje gospodarstwo, chwała Bogu, jest nie najgorsze. Uzbierałem sobie wszystkiego potroszę. Nasi krewni patrzą dlatego krzywo na mnie, i tak, Boże mój, stoję teraz jak drzewo w czystym polu. Niechby to się raz skończyło; ja dłużej czekać nie mogę.

— Ejże, jaki mi kawaler! — rzekł Gubec — nie może dłużej czekać! No, proszę... A gdzież są twoje wąsy? Usiądźno sobie tu na ławeczce i posłuchaj, co ci powiem.

Jerzy usiadł zasepiony, a po nim także Gubec. Przez chwilę milczeli obaj; wreszcie wuj zwiesił głowę, położył ręce na kolanach i przemówił spokojnie:

— No, wprawdzie nie masz jeszcze wąsów, ale minęło ci już lat ośmnaście i mleko nie cieknie ci po brodzie. Gdy matka twa, a moja siostra, czuła się już bliską zgonu, przywołała mię do swego łoża i rzekła:

„Bracie! Mój rachunek już się skończył, i muszę pożegnać się z tym światem. Na piersiach jakby kamień mi leżał; źle jest, ale Bogu dzięki, że nie gorzej. Proszę cię, bracie, na miłość Boga, o jedną rzecz. Po mnie zostanie jedynaczek, mój Jerzy; oczy ojca dawno już się zamknęły, a teraz zamkną się i matczyne; nie będzie nikogo, co by czuwał nad nim.

Przysięgnij mi, że będziesz się nim opiekował, przysięgnij, a umrę spokojnie.“ — Ja przysiągłem, słyszysz, przysiągłem na moją duszę, a matka twoja obróciła się i zasnęła spokojnie. A com przyrzekł, spełniałem też wiernie. Żywiłem cię i ochraniałem od cudzych i od krewnych w waszym domu.

— To prawda, wuju, i dzięki Wam za to.

— No widzisz, mój Jurciu, że pragnę tylko twojego dobra. Zaufaj mi przeto.

Teraz zamroczyła ci się nieco głowa... przypadłaci do serca Jurkowa Jania. Wprawdzie uboga ona, ale to nic nie znaczy, bo zato skromna i poczciwa. Krewnie chcieliby cię ożenić z bogatą; ja zaś powiedziałem: „Staraj się o Janię, bo ona lepsza niż takie dziewczęta, które chowają bogactwo swoje w worku, a nie w serca. Ale wszystko trzeba robić w należytych czasie, mój synku; wierz mi, nie daremnie obrosła mi broda. Rodziny wnet przybędzie, ale do gospodarstwa potrzeba rąk silnych, aby się dach nie zawalił. Jesteście jeszcze zanadto młodzi, dzieci prawie; ona ma lat piętnaście, ty ośmnaście; ona mogłaby jeszcze sama ssać, a nie innych karmić. Poczekajcie jakiś czas!

— Eh, drogi wuju, — odrzekł młodzieniec, skrobiąc się za uchem — wiem, że mądrze mówicie, i że

Was cała gmina prędzej posłucha niż księdza lub wójta; ale boję się, by nie nastąpiło zapóźno to, co się Wam teraz zawczesném wydaje. Stary Tahi idzie na naczelnego dowódcę do Wielkiej Kaniszy, i przeto zbiera oddział jeźdźców i za pieniądze i za słowo „musisz.“ Zaledwie kilka dni temu, jak śledził mię ten stary wilk na drodze do Jakowli. Jechałem na koniu do Zagrzebia; Tahi zatrzymał mię, pytał się, kto jestem i czem jestem. Odpowiedziałem: „Jerzy Mogaicz, wolny kmieć ze Stubicy.“ A on rzekł do swego towarzysza: „Ten chłopak jakby stworzony na jeźdźca. Zapamiętaj sobie jego nazwisko, Pietrze!“ — I odeszli. Pomyślcie, jak mi było na sercu. Bóg widzi, żem nie tchórz, porwałbym się, gdyby potrzeba było, i na wilka; ale teraz, mój Boże, kiedy głowa moja zajęta tylko Janią, wsiadać na konia i nieść głowę swoją Turkom na targ... To może boleć człowieka. Powiedzcie sami.

— Nie bój się, synku, — odpowiedział Gubec — jesteś wolnym kmięciem na swoim gruncie. Podług prawa nie śmie Tahi brać ciebie do swęj jazdy.

— Wiem to — odpowiedział markotnie Jerzy — ale Tahi nie troszczy się wcale o prawo, jak gdyby ono nie istniało nawet dla niego. Przed kilku dniami wezwał ze wszystkich wsi starszszynę na zamek i nakazał jęj, aby podała jego pisarzowi nazwiska wszystkich nieżonatych młodzieńców, tak poddanych jak i wolnych kmięci, którzy byliby zdatni do jazdy; a gdy mu berdowiecki wójt oświadczył, że synowie wolnych kmięci nie należą według prawa do zaciągu, i że on wie to, ponieważ wypisywał już nieraz ludzi z chat na wojnę, oburzył się na niego

stary Tali i zawołał: Że wolny knieć jest takim samym psem jak poddany, że on sam przykroi sobie prawo, jak mu się zechce, a „stare błazny,“ to jest starszyzna, niech trzymają język za zębami. — Widzicie więc, wuju, że nie przyszedłem do Was tak tylko na żarty; boję się, żeby mnie nie spotkało co złego, bo i moje nazwisko zostało zapisane, jak się o tem od wójta dowiedziałem. Ożeńcie mnie, wuju, a nie będzie już strachu.

— Ożeń go, ożeń naszego Jerzyka — ozwał się z domu słaby głos. Równocześnie pojawiła się na progu zgarbiona staruszka o zwiędłej twarzy i siwych włosach. Trzymając się obiema rękami futryny, przystąpiła stara Gubcowa pomaleńku do syna i wnuka i usiadła między nimi na ławeczce. Potem ująwszy syna za rękę, mówiła dalej:

— Tak jest, Macieju, ożeń go! I twój ojciec nie był starszym, gdy mię przywiódł z Puszy do tego domu. Jania jest dobrą dziewczyną; wprawdzie uboga, ale ja także nie wniosłam nic do domu. To już tak jest; gdy się dwa serca łączą, nie zawsze idzie to gładko podług wyrachowania i drogą naturalną. Stara to powiastka. Cóż począć, kiedy nas Bóg takimi stworzył. A zwłaszcza teraz nie może być inaczej, kiedy chcą biedaka pędzić na Turka. Nie daj tego Boże! Nie daj!

Gubec ściągnął brwi, przesunął rękę po głowie i nieco się zamyślił.

— Dobrze więc, matko, — rzekł po chwili — zrobię, jak chcecie, ponieważ zachodzi takie niebezpieczeństwo. Wiem wprawdzie, że pan Tali podług prawa nie śmie brać Jerzyka na wojnę; ale dobrze mówi

chłopak, co jest prawem w naszych czasach? Bat, szabla i szubienica! Pójdę do starego Tahiego. Wolałbym oddać za to najlepszą krowę, ale pójdę, bom przysiągł matce Jerzyka, że go nie opuszczę. Zaraz jutro pokosztuję tego kwaśnego jabłka. Ty, Jerzyku, powiedz krewnym, cośmy tu postanowili, i możesz jutro pójść do Berdowiec oznajmić to Jurkowi i Jani; niech dziewczyna się przygotuje. Czy dobrze tak, matko?

— Dobrze, mój synu — odpowiedziała starowina. — Zrób, jak myślisz; ja wiem, że robisz rozumnie.

— Dzięki Wam, dzięki, drogi wuju! — zawołał młodzian i podskoczył z radości. — Teraz skończy się wszelki smutek. Hej Janiu, droga Janiu! Da Bóg, będziemy za rok zbierali razem winogrona!

Z radości podrzucił chłopak kapelusz do góry; ale w tej chwili dał się słyszeć od strony Gołubowiec tętent kopyt końskich. Maciej spojrział w tę stronę i wzdrygnął się; po chwili rzekł do młodzieńca:

— Niestety, chmury się ściągają. Wracaj do wsi, Jerzyku, i zrób, jakem ci powiedział. A Wy, droga matko, idźcie, proszę Was, do domu, ja wnet przyjdę za Wami.

— Dobrze — rzekł wesoło Jerzy. — Bywajcie zdrowi, wuju, bywajcie zdrowi, babuniu, niech Wam Bóg użyczy dobrej nocy! — I puścił się pędem ku wsi. Staruszka polazła do izby.

Gubec zeszedł nadół ku wrotom. W tej chwili zatrzymał się przed wrotami jeździec, okryty długim, czarnym płaszczem, w aksamitnej czapce, zesuniętej na bok. Był to silny, czarnooki młody mężczyzna, po



którego ognistém spojrzeniu i wybitnem, śmiałym obliczu można było poznać, że to dzielny młodzian.

— Dobry wieczór, Macieju! — zawołał gość zeskakując z konia.

— To Wy, miłościwy panie? — spytał zdziwiony Gubec.

— A no, ja! Dziwisz się, że Szczepan Gregorjaniec przychodzi do ciebie? Otwórz wrota, bym mógł wprowadzić konia na dziedziniec. Muszę z tobą poufnie kilka słów pomówić. Czy jesteście sami?

— Oprócz matki mojej nie ma tu nikogo.

Po tych słowach otworzył Gubec wrota; Szczepan uwiązał konia do drzewa i usiadł na ławeczce pod orzechem.

— Usiądź, Macieju — zaprosił jeździec gospodarza, rozsuwając płaszcz, pod którym widać było szeroką szablę i za pasem dwie krucice. Maciej usiadł.

— Nie chciałbym, żeby mnie tu zobaczyli ludzie Tahiego. Dlatego nie jechałem koło Susjedu, lecz przeciwną stroną.

— Co mi rozkaże Wasza Miłość? — zapytał Gubec.

— Powiedz mi, czy lubisz nowego pana?

— A kto jest naszym panem?

— Czyż nie poczuliście jeszcze jego bata? — rzekł na to uszczypliwie Szczepan.

— O Tahiego pytacie? A no, czujemy jego bat; rani nas do krwi.

— A będziecie go i dalej słuchać?

— A kogóż mamy słuchać, kto jest po prawie naszym panem?

— Nie wiesz, czyje jest prawo?

— Cóż my wiemy? Myśmy poddani. Wasze jest prawo, wasz sąd... Zobaczymy, co sąd powie na to.

— Nie udawaj, Macieju! — rzekł niecierpliwie pan Gregoryaniec, oparłszy się łokciem o kolano i patrząc w ziemię. — Nie jesteś takim chłopem, jak inni; tyś człowiek rozumny. Sąd! Niech diabli porwą taki sąd fałszywy.

— To niech panowie się postarają, aby był sprawiedliwym.

— Tak też uczynimy. Tyś człowiek tutejszy, a nawet każde dziecko wie, że Stubica to prawy i wyłączny majątek mojej teściowej.

— Wiem, że była nim.

— I jest w obliczu Boga i świata. Wiesz i to, że Tahi zabrał go jój gwałtem jak rozbójnik.

— Wiem, że to nie był dobry i szlachetny postępek; Tahi przyszedł w nocy, nie w biały dzień.

— Dobrze. A czy dręczyła was moja świekra, czy pogardzaliśmy wami, my zięciowie jój?

— Nie.

— Więc widzisz, Macieju; a co się dzieje teraz, powiedz sam? Tahi krzywdzi was i bije, zabiera wam mienie i grunta, a teraz popędzi waszych synów na wojnę z Turkiem. Słyszałem to wszystko. Czy wam to miło?

— Nie — odrzekł spokojnie Gubec.

— Czemuż milczycie?

— Cóż mamy robić? powiedzcie! — rzekł znowu spokojnie Gubec i spojrział na Szczepana.

— Szukajcie sprawiedliwości!

— U kogo ją znajdziemy? Czemuż Wy nie powiecie tego wszystkiego banowi, sądowi?

— Uczyniliśmy to, ale niewiele pomoże to lekarstwo.

— Cóż to za ban, który nie dba o sprawiedliwość? Kiedy wy, panowie, nie znaleźliście jej u niego, to cóż dopiero my, włościanie.

— Ba, to inna rzecz. Was jest wiele. Macie pięści, kosy, strzelby. Zaczynjcie tylko!

— A wy pojednacie się potem z Tahim i każecie nas powywieszać!

— Klnę ci się na żywego Boga, że tego nie zrobimy. Nie przyszedłem tu we własnym interesie, lecz w sprawie méj świekry. I mój ojciec, podban, tak myśli.

— I wasz ojciec? Niech mu będzie cześć i chwała. To sprawiedliwy pan i nasz rodak.

— Widzisz, że przyszedłem w uczciwym zamiarze.

— Powiedzcie mi jednak, miłościwy panie, co to ma znaczyć: ban mówi tak, a podban inaczej... Któż ma słuszność?

— Ban jest zięciem Tahiego.

— Prawda. Dobrze mówicie — zaśmiał się cierpko Gubec. — I panowie chodzą niekiedy różnymi drogami. Wiedzą o tem nasze grzbiety, i nieraz już krew zakipiała we mnie... my włościanie nie jesteśmy przecież bydłętami. Ale powiedzcie prawdę, miłościwy panie, dla-

czego właściwie przyszlście do mnie, do Macieja Gubca.

— Ty wiesz to najlepiej. Jesteś wprawdzie chłopem, ale w tój okolicy słuchają cię włościanie więcej, niż wójta lub kasztelana, a nawet więcej niż samego pana. Co powiesz, to się stanie. Gdy się włościanie powadzą, przychodzą do ciebie po sąd, ponieważ jesteś mądry, ponieważ więcej umiesz niż oni. A nie skarżyli się już przed tobą?

— Skarżyli.

— Pomnij, że dawni państwo byli dla ciebie łaskawi, że obchodzili się z tobą jak z człowiekiem.

— A cóż mam zrobić? — zapytał Gubec powstając.

— Szepnij kilka słów kmotrowi Ilii i ludziom po innych wsiach. Tahi odjedzie za kilka dni do Kaniszy ze swoim oddziałem. Zamek będzie bez obrony, bo cóż zdoła żona Tahiego? Nie dajcie się, Bóg doda siły waszym pięściom, i wszystko będzie dobrze.

— Będzie znowu tak, jak dawniej. Posłuchajcie mnie, miłościwy panie. Miałem krewnego, który był proboszczem. Służyłem u niego zamłodu. Gdyby nie był umarł zawczasie, byłbym może i ja nosił czarną sutanę. Tój odrobiny, co umiem, nauczyłem się od tego poczciwego starca. „Bądź rozumnym i miej serce“, mawiał do mnie ów starzec, „a Bóg ci pobłogasławi. Jedno zaś bez drugiego nie przynosi szczęścia. Równa waga jest najlepsza.“ — Nauczył mię także czytać. Pisać niestety nie umiem. Gdy umarł, byłem biedakiem, pozostała mi tylko jedyna stara książka... pismo święte.

Czytywałem z niego bardzo wiele i bardzo często w zimowych wieczorach, i było mi potem lekko na sercu. I teraz czytuję je znowu. Co w niem napisano, wszystko jest inaczej, niż jak się dzieje na świecie.

— A pocóż ty mi prawisz takie kazanie? — przerwał mu gniewnie Szczepan i ze zdziwieniem spojrzął na chłopca.

— Poczekajcie, miłościwy panie, a dowiecie się zaraz. Książka ta mówi, że wszyscy ludzie pochodzą od Adama i Ewy, zatem i panowie i poddani i wszyscy ludzie są braćmi, a więc i wy i my jesteśmy jedna krew. A gdy syn Adama zabił swego brata, przeklął go Bóg; a czyż nie powiedział nasz Zbawiciel, że człowiek ma kochać bliźniego, jak siebie samego, czyż nie powiedział, że kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony? Gdym przyszedł do rozumu, pomyślałem sobie, że i ja jestem potomkiem Adama, że i mój ród jest tak dawny, jak każdego księżęcia, tylko że księżę ma na pergaminie napisane, jak się jego przodkowie zwali, a my włościanie nie mamy. Rozpatrywałem się potem po świecie i widziałem, jak szlachecki brat uciskał i do krwi męczył chłopskiego brata; rzekłem więc do siebie: To nie jest podług prawa, Bóg każe inaczej. Świat stoi na sromotnych nogach. A potem przyjdzie sąd Boży i wszystko wyrówna.

— Co ty wygadujesz? — zawołał Szczepan, wytrzeszczywszy oczy na Gubca, i powstał nagle.

— Mówię Wam to dlatego, — odrzekł na to spokojnie chłop, — abyście wiedzieli, jak myśli Maciej Gubec. Czego wy, panowie chcecie od nas, czego spo-

dziewacie się po nas? Czemuż nam nie dozwolicie, abyśmy byli przynajmniej ludźmi, bo wasze pisma głoszą, że wy jesteście lepsi, a my gorsi. Tylko gdy potrzebujecie naszej pomocy, gdy potrzeba wam krwi i pieniędzy kroackich chłopów, jesteśmy dla was dobrzy, zresztą jesteśmy tylko pospółstwem czyli śmieciem. Przysłiście żądać znowu naszej pomocy... magnat popycha chłopą przeciw magnatowi... a to za wasze prawa. I ja nie nawidzę Tahiego; — mówił Gubec dalej zniżonym głosem i oczy mu zabłyśły — nienawidzę go, ponieważ uważa siebie za boga, a nas za psów. A jeżeli będziemy przelewali krew za wasze prawa, jakież prawo dostanie się nam, żebrakom, skazanym tylko na łaskę?

Zareczam ci honorem, — odpowiedział Szczepan, spoglądając z niejakim uszanowaniem na chłopą, który dumnie podniósł głowę — że jak tylko pani świekra powróci do Susjedu, otrzymasz wolność, zostaniesz wolnym kmieciem.

— Dziękuję Wam, panie — odrzekł z uśmiechem Maciej. — Czy myślicie, że przyjąłbym zapłatę za moje pomoc? Mylicie się. Co mi po tem? Ja jestem i pozostanę sam; ale gdy widzę, jak sieroty płaczą i cierpią nędzę po wsiach, boli mnie serce.

— Posłuchaj, Gubec! Klnę ci się, jeżeli zostanie nam zwrócony majątek, postaramy się i o wasze dobro i nigdy was nie opuścimy!

— Wy się klniecie? — zapytał Gubec poważnie Szczepana.

— Na żywego Boga i zbawienie duszy!

— Zostawcie mi dwa lub trzy dni do namysłu,

a potem dać znać przez którego z waszych ludzi, co postanowie.

— Dobrze! Przyszłej dozorcę Szczepana lub Iwana Sabowa, którzy mieszkają w Berdowcach, a których Tahi wyгнаł z zamku. A więc za dwa lub trzy dni?

— Za trzy dni, — odpowiedział Gubec — a teraz dobranoc, panie!

— Dobranoc — podziękował Szczepan, podając mu rękę, i odszedł.

Wkrótce potem słyhać było, jak śród ciszy nocnej koń cwałem pędził ku Gołubowcom, i jak tętent jego głuchnął coraz bardziej między wzgórzami. Ale Gubec siedział jeszcze długo pod orzechem, cisnąc dłońmi głowę i rozmyślając o przyszłych rzeczach. Gdy Maciej tak dumał, szedł spieszenie do Stubicy ku Susjedowi stary człowiek, Andrzej Mogaicz, komornik i krewniak Jerzyka, udając się jeszcze tej nocy na zamek do pana.

\* \* \*

Gdy nazajutrz zrana około godziny dziewiętej doszedł Gubec w Iwańcach do końca drogi, powiedział mu jakiś znajomy człowiek, że Jerzy Mogaicz przejeżdżał tamtędy przed dobrą półgodziną i że skręcił na most krapieński. Gdy Gubec przybył do wsi pod Susjedem, miał się na co natrzeć. Jaki tam był krzyk i hałas! Kupa koni stała przywiązana do drewnianych kołów, a na drodze i po domach wykrzykiwała dziwna hałastrą: Madziary, Styryjczycy, Sławończycy, Posawczanie, wszyscy w kołpakach i niebieskich dolmanach, o osobliwszych zbójceckich twarzach, słowem taka zbieranina drabów, jak gdyby ich

wrony poznosiły ze wszystkich końców świata do téj wsi zamożnej. Po drodze jakaś kobieta, wychodząc z domu, opowiadała Gubcowi, że to kaniska jazda pana Tahiego, istna gromada rabusiów, gorsza od dżumy, bo w całej wsi nie ma już ani gęsi ani kury, a dziewczęta i młode niewiasty nie śmiają nawet za próg wyjść.

To szczęście jeszcze, że ta hałastra odjedzie za trzy lub cztery dni z panem do ziemi madziarskiej; ale przedtem będzie jeszcze dużo płaczu i narzekania, bo Tahi zabiera przemocą nieżonatych chłopców ze wszystkich wsi do wojska. Oby się Bóg zmiłował nad biednymi matkami!... Po Gubcu mróz przeszedł, ale nie zważając już wcale na hałasującą czeredę, pożegnał kobietę dobrem słowem i puścił się pod górę na zamek. Brama zewnętrzna była na ścieżaj otwarta; chłopci, słudzy, panowie i wojacy przechodzili tam i nazad krzycząc i hałasując; Dubec wszedł bez przeszkody na pierwszy dziedziniec. W pobliżu bramy stał oparty plecyma o mur, barczysty człowiek w ciemnym ubraniu; twarz jego była obrzękła, wąsy do góry podkrecone, a nos szpiczasty; tak stojąc nieruchomie przypatrywał się uważnie wszystkiemu, co się działo na dziedzińcu.

— Słuchajcie, poczciwy człowieku! — przemówił Gubec podchodząc ku niemu.

Byłto jeden ze służebników na zamku.

— He? — zawołał, oglądając Gubca od stóp do głów.

— Gdzie jest miłościwy pan Tahi? — zapytał Gubec.



— Tam — odrzekł sługa, wskazując palcem na jakiegoś starca.

Gubec spojrział, gdzie mu wskazano. W pośrodku dziedzińca stał w podeszłym już wieku człowiek średniego wzrostu, o krótkich nogach i rękach, ale nadzwyczaj silny. Głowę miał wielką, a na niej białe, wełniste włosy. Oblicze jego było czerwone i szorstkie, broda i długie wąsy również białe, a oczy małe, siwe i ciągle przymrużone. Czoło szpeciła mu krwawa blizna, a od nosa do tłustych warg ciągnęły się dwie bruzdy. Po twarzy przebiegał mu co chwila złośliwy uśmiech, który mógł i samego diabła przestraszyć. To był Ferdynand Tah, baron Stettenberski. Prawą rękę trzymał pod rozpiętą, zieloną kurtą, w lewej miał bat, a nogi odziane w skórzane spodnie i wysokie ciżmy, rozstawił szeroko i patrzył, jak czarnowłosy, widocznie zniecierpliwiony młodzieniec w niebieskim ubraniu łajac i klnąc, targał szalonego konia. Młodzikowi temu przypatrywała się jeszcze druga osoba: niemłoda już pani, o białych licach, czarnych oczach i czarnych włosach, po której delikatnym nosie i wydętych wargach można było poznać familijne znamiona i duszę rodu Zrińskich, a po całej twarzy, że to jest matka tego młodzika. Istotnie była to Helena Zrińska, zameżna Tahowa, a owym młodzikiem był jej syn, Gabryel, raczej chłopak niż młodzieniec, raczej mały szatan, niż młody panicz. W niejakiem oddaleniu od pana stało kilku włościan z odkrytymi głowami, stały włościanki, trzymając na ręku wążle dzieci i gorzko płacząc.

— No, Gabruś! Wsiądź na niego i poskrom go!

— krzyknął chrapliwym głosem Tahi, nie troszcząc się wcale o włościan. Koń był siwy i dziki, pochodzenia tureckiego. Rwał się jak opętany, stawał dęba i potrząsał grzywą; ale młodzik skurczył się i wskoczył nań w okamgnieniu, a usiadłszy przyczepił się do niego jak kot albo wąż.

— Tak to dobrze — zawołał ojciec i śmignął batem konia i synka.

— Tak to dobrze — powtórzyła Helena z okna. — Ej, trzymaj się dobrze, nie daj się!

— To twój koń? — rzekł Tahi obracając się do chłopca, który stał w pobliżu i trwożliwie spoglądał na konia.

— Tak jest, miłościwy panie — odpowiedział włościanin.

— A skąd masz takiego konia?

— To turecki, panie, zabrałem go Turkowi w ostatniej bitwie.

— Na co przyda się tobie taki koń szlachetny? To nie dla chłopca. Wyświadcę ci łaskę... na tym koniu pojedę ja sam do Kaniszy. On lepszy niż siwka Mikulasza. Rozumiesz, ten koń jest mój!

— Ależ, miłościwy panie... zajęczał były jeździec bana.

— Wynoś się stąd — zawołał Tahi — i dziękuj Bogu, że odchodzisz żyw. Ruszaj!

Biedny włościanin struchlał; spojrzął jeszcze raz żalnym wzrokiem na pięknego konia, zwiesił głowę i odszedł. Wtém zbliżyła się do Tahiiego niewiasta z dzieckiem:

— Miłościwy panie! — zaledwie wyłkała z płaczu.

— Hej, Gabruniu, przejedź z tym koniem jeszcze

raz po dziedzińcu! — zawołał Tahi, jakby nie słyszał jęku niewiasty.

Młodzik popędził jak szalony, a niewiasta załkała znowu:

— Miłościwy panie...!

— Czego chcesz? Kto jesteś? — ofuknął ją Tahi.

— Jestem Maruszcowa ze Zapraszyc.

— A?!

— Wasi słudzy zabrali mi cały majątek.

— Nie potrzebujesz teraz troszyć się o niego — rzekł ze śmiechem Tahi. Jedź dalej, Gabruniu!

— Alem ja głodna, bosa i półnaga. To było całe moje mienie!

— Twoje? Jakto twoje? Nie ma nic twego. Ah, teraz wiem. Idź sobie znów po karmnego wołu do pani Urszuli!

Wtém zapędził się Gabryel ku miejscu, gdzie stała niewiasta, i byłby ją pewno z dzieckiem powalił; ale niespodzianie przyskoczył Gubec i pochwycił konia za uzdę, a niewiasta płacząc odeszła. Koń stanął, a stary Tahi naczupurzywszy się ze złości, spojrzął na włościanina.

— Kto jesteś? — zapytał.

— Maciej Gubec — odpowiedział włościanin spokojnie i śmiało.

Tahi popatrzył nań z ukosa.

— Gubec? Gubec? — powtórzył. — Aha! Jesteś z Górnej Stubicy?

— Tak jest, łaskawy panie.

Ów fałszywy prorok, ów chłopski bożek, mój poddany — dodał wzgardliwie Tahi.

— Poddany panów stubickich — rzekł na to spokojnie Gubec.

— Czegóż chcesz, rzadki gościu, jakiejbyś łaski pragnął? — pytał się dalej Tahi. — Jesteś hardym, jak mi mówiono, a ja nie widziałem cię jeszcze.

— Nie przyszedłem żądać łaski, lecz upomnąć się o prawo!

— Poddany mówi o prawie? — rzekł z zadziwieniem Tahi.

— Tak jest, miłościwy panie. Słyszałem, że Wasza Miłość zapisuje naszych młodzieńców na wojaków.

— No tak, i cóż dalej?

— Słyszałem, że jest zapisany także Jerzy Mogaicz ze Stubicy, syn mojej siostry.

— Aha! Mogaicz! Jest, jest! — przypomniał sobie Tahi.

— Ale Jerzy jest wolnym knieciem, — rzecze Gubec — ma służyć tylko w wojsku bana, a teraz żeni się jeszcze.

— A cóż tobie do tego?

— Jestem jego wujem i zastępuję mu ojca i matkę! Jestem jego opiekunem i przyszedłem tylko przypomnąć Wam to, panie.

— Wolny czy nie wolny! — zachnął się Tahi. — To mi wszystko jedno, on pójdzie ze mną do Węgier. Nie śmie się żenić. Teraz wiesz, musi pojsć ze mną. To zły człowiek, buntownik!

— To człowiek wolny — spokojnie odpowiedział Gubec. — Nie musi iść do wojska, może się żenić.

— Ferdku! — wrzasnęła z okna pani Helena — i ty spokojnie słuchasz to wszystko?

— Nie musi?! — krzyknął Tahi wrząc z wściekłości, i podniósł bat do góry. — Nie musi, ty psie wiejski?! — i zamierzył się na Gubca.

— Wstrzymajcie się panie! — rzekł włościanin, i spojrzawszy ostro na Tahiego, podniósł rękę. — Mnie dotknęła się chyba szabla turecka w służbie królewskiej!

— Panu susjedgradzkiemu opadła ręka. Gubec mówił dalej:

— Powiedzcież mi, miłościwy panie, co myślicie zrobić z Jerzym?

— Zobaczysz wkrótce, psie! Tymczasem trzymaj język za zębami i nie wyłaż z dziury, inaczéj każę cię w samą niedzielę zaprząć w jarzmo przed stubickim kościołem! — krzyknął Tahi i odszedł spieszenie do zanku.

Gubec zgrzytnął zębami, zacisnął pięści, spojrzął na wspaniały zamek i szepnął:

— I ty wkrótce zobaczysz, krwiożerczy drapieźniku! — i oddalił się również spiesznym krokiem ku wsi.



## VII.

Wysoko przyświecał już księżyc nad Berdowcami, i liście drzew, nie poruszane najmniejszym nawet wiatrem, lśniły się w blasku miesięcznym jak srebro. Głęboka cisza panowała dokoła; w oknach chat wiejskich było ciemno, tylko z jednéj chaty połyskiwało światło łuczywa. Za płotem téj chaty stała Jania, a przed nią młody Mogaicz. Dziewczyna oparła się łokciami o płot, a twarz zwróciła ku księżycowi. Oczy jéj błyszczały dziwnie, a twarz uśmiechała się, jak gdyby dziewczę marzyło o raj. Jerzy oparł się o płot i wpatrywał się w dziewczynę tak, jak gdyby nie mógł nasycić się jéj widokiem.

— I cóż, Janiu, czyś rada, że się tak stało? — rzecze chłopak czułym głosem.

— Jeszcze się pytasz, Jerzyku? — odpowiedziało dziewczę uśmiechając się. — Wiedziałam i wierzyłam, że mnie nie oszukasz, boś poczciwa dusza; ale nie spodziewałam się, że będę twoją tak rychło. Prawie lękam się teraz i nie dowierzam temu szczęściu.

— Mnie się lękaś?

— Widzisz go! Myślisz, że się ciebie boję? Jeszcze co! Ja nie boję się żadnej męskiej głowy, bo i czegoż miałabym się bać? Ale jakoś dziwnie mi się zrobiło, gdyś mi onegdaj powiedział, że cię chcą pędzić na Turka, a potem, że mamy się pobrać. Nie wiedziałam czy mam płakać czy śmiać się. Doprawdy, głowa mi się kręci.

— Nie bój się, Janiu, głowa przestanie cię boleć, a potem odprawimy wesele.

— Okłamałeś mnie — mówiła dalej żartem dziewczyna — okłamałeś. Jaki to kłopot, mój Boże!

— Co za kłopot? — zapytał zdziwiony chłopak.

— Eh, przedłam pilnie i dość, chwała Bogu, na-  
przedłam, ale mało jest utkanego przedziwa, a jeszcze mniej płótna naszytego. To doprawdy wstyd dla mnie.

— O to się nie troszcz, Janiu; będziesz miała dość czasu i potem.

— Tak, potem! A cóż powiedzą twoi krewniacy, kiedy bieliznę policzą na palcach? Toż za każdą łyżką będą mi kłaść na miskę, żem goła przyszła pod twój dach. Ale Bóg widzi, żem ja niewinna temu. Chciałam sobie wszystko pięknie przygotować, i byłabym gotowa, gdyby nie tatunio, który ciągle upominał: „Nie psuj sobie oczu w nocy! Ty nie wiesz, jaki to dar Boży, a na wesele możesz czekać, aż zejdzie trzeci len i konopie.“ — I ja tak sądziłam i dość się napłakałam; teraz wesele zaskoczyło mnie tak nagle, a moje kłębki wiszą jeszcze pomotane nad kominem i nad piecem. Bardzo mi to przykro.

— Przykro ci może, że masz być moją?

— A ty niepoczeiwy! — rzekła gniewnie nieco

dziewczyna i uderzyła narzeczonego zlekka ręką po plecach. — Jakie to brzydkie żarty! Czy nie boisz się Pana Boga, że tak wszystko na wywrót obracasz? Gdybym nie chciała iść za ciebie, tobym nie szła. Ale mnie boli, że wejdę z niczém do domu. Choć jestem sierotą i ubogą, nie jestem przecież żebraczką.

— Ej, patrzcie, czém ten garnuszek nawrzał! — zawołał śmiejąc się Jerzy, i pochwyciwszy dziewczynę za ramiona, wesoło popatrzył jój w oczy. — No, Janiu, teraz nie motaj już przedzy, aż będziesz moją. Ja o nic innego się nie troszczę. A niech kto tylko słówko piśnie, to będzie musiał skrobać się po plecach!

Dziewczę wywineło się lekko z rąk Jerzego i cofnęło się. On zaś mówił dalej:

— No, jużesmy się od rana dość nagadali. Hej, hej, gdzie księżyc a gdzie Stubica! Trzeba już iść.

— Więc idź z Bogiem, mój najdroższy; szczęśliwej drogi! Ale miéj się na baczności — żegnała go czule dziewczyna.

— Bądź zdrowa, Janiu! Dobranoc! — rzekł Jerzy i podał dziewczynie rękę, którą ona nieśmiało pochwyciła i zwiesiwszy głowę pocichu szepnęła:

— Dobranoc, Jerzyku!

Tak się rozłączyli. Dziewczę wróciło do domu, a młodzian pospieszał przy blasku księżyca ku Zaprzeczynom, potem ku mostowi krapieńskiemu, dalej przez Krapin do Iwanic, a stamtąd wreszcie ku Bystrze. Serce jego było wesołe, nogi lekkie, noc jasna, a rozgrzana krew jego nie czuła wcale nocnego chłodu. Cicho było i spokojnie dokoła, wszystko milczało i pola i drzewa i chaty,



jak gdyby wszystko przemieniło się w czarny kamień. Za wsią Iwańcami wiedzie droga popod górę, a las ciągnie się aż do drogi. Daleko widać drogę, biała od miesięcznego blasku, ani czarnej plamki na niej nie było. Naraz jakby coś zaszeleściało w krzakach. Jerzy stanął. Nachylił głowę i słuchał przez chwilę. Nic, ani listek się nie ruszał. Szedł dalej. Ale cóż to? Znowu posłyszał jakby szept ludzkiego głosu! Po chłopcu mróz przeszedł. Ścisnął mocniej laskę i zaczął stąpać powoli, tak, że aż słyszał bicie swego serca. Ale wnet zawstydził się, krząknął i zaczął znowu iść coraz spieszniej, przyspiewując sobie półgłosem. Ominął już wielki krzak, wychylający się na drogę, postąpił jeszcze ze dwa kroki, gdy wtém ktoś zagwizdnął. Wprzód, nim zdołał obrócić głowę, zaćmiło mu się przed oczyma i ugodzony silną ręką powalił się na wznak. Czui, jak ktoś zarzucił mu kawał płótna na głowę i jak na nim ukląkł. Przestraszony, zaczął się bronić rękami i nogami. Napróžno; poznał, że koło niego jest kilku ludzi. Ręce i nogi skrepowano mu konopnym powrozem, a płachtę obwiązano ciasno dokoła głowy, ażeby nie mógł ani widzieć, ani słyszeć, ani krzyczeć. Nieznani rabusie wsadzili go potem na konia i rączym klusem puścili się z góry. Po chwili zaczęli znów jechać pod górę. Jerzy poznał, że się otworzyła wielka brama, i że konie nią wjechali. Zdjęto go z konia i niesiono gdzieś dalej. Na koniec czuł, że go położono na twardej ziemi i rozwiązano mu nogi. Wtém ściągnęła mu nieznajoma ręka także płachtę z głowy. Przed oczyma zabłysła mu pochodnia, którą trzymał nad nim jakiś śniady, z czarną brodą młodzian w żelaznej przyłbicy. Oglądnął się: leżał

na gołej ziemi w niskiej, kamiennej komórecie podziemnej bez okien. Koło niego stało dwóch ludzi ubranych po żołniersku; ci go zapewne porwali.

— Puśćcie mnie, zbójce, puśćcie mnie! Czego chcecie odemnie? Com wam uczynił? Jeżeli macie Boga w sercu, rozwiążcie mi ręce. Puśćcie mnie zbójce.

— Milcz psiawiaro! — krzyknął silniejszy z żołnierzy i ściągnął go powrozem po głowie, aż mu krew wytrysła.

Więzień zerwał się jak dzik raniony, ale wtem drugi żołnierz, rudowłosy, uderzył go trzonem włóczni w piersi. Młodzian powalił się i zgrzytał tylko zębami. Po chwili otworzyły się małe drzwiczki, którymi wsunęła się duża głowa ze szpiczastym nosem i zakręconymi do góry wąsami, głowa Piotra Bośniaka.

— Macie ptaszka? — zapytał się Bośniak.

— Mamy, Pietrze, mamy! — zaśmiał się rudowłosy i wskazał na Jerzego. — Pod Bystrą wlaź nam ten młody piskorz sam do sieci; a teraz rzuca się jak diabeł skropiony święconą wodą.

— Nie opieraj się, mój gołąbku! — szydził Bośniak. — Owszem, ciesz się! Będzie z ciebie tegi jeździec. Miłościwy pan Tahi dopiero się uraduje, żeś się dał zapisać do jego wojska.

Jerzemu mocno nadymały się piersi.

— Micz, drabie! Ja nie pójdę do wojska Tahiego; jestem wolny kmieć, poskarzę się królowi.

— Skarz się, skarz, mój sokole! — mówił dalej Piotr. — Ale na nieszczęście twoja komórka nie ma

okien, i król tego nie usłyszy. Wiem, co cię martwi. Paniczowi zachciało się żenić.

— O Janiu moja, Janiu! — zajęczał młodzian.

— Poczekaj; — rzecze dalej Bośniak — jesteś jeszcze młody; za pięć, sześć lat, gdy powrócisz, będzie ptaszek miał więcej pierza, i ty będziesz miał więcej czasu się ożenić, jeżeli nie dasz Turkom odciąć sobie głowy... Pójdźmy chłopcy, pójdźmy, a tobie, wolny kmicciu, dobranoc!

Żołnierze wyszli za Piotrem, który zamknął drzwiczki, i Jerzy pozostał sam w ciemnym więzieniu w zamku Tahiego. Narzekając z rozpacz, przyłożył gorącą głowę do zimnego kamienia, ażeby nie oszalał, i błagał Boga, by mu zachował zdrowy rozum dla pomszczenia się za swoją krzywdę.

---



## VIII.

Głośny płacz nieszczęśliwych matek rozległ się po wsiach, gorzkie łzy zraszały ziemię kroackich włościan. Na konopnych powrozach prowadziła dzika horda Tahiego na wojnę synów tak poddanych jak i wolnych kmieci. Z tyśiąca piersi włościańskich wznosiły się klątwy ku wysokim sklepieniom susjedzkiego zamku. O Jerzego Mogaicza nie pytali się zbiry srogiego tyrana, ale pytał się Gubec, pytała się nieszczęśliwa Jania. Napróżno; nigdzie nie było ani słychu o nim. W nocy odszedł z Berdowiec i nie przybył do Stubicy. Nie było go nigdzie, jak gdyby wicher go uniósł.

Gubec stał na swoim podwórzu, ręce założył na krzyż i patrzył w ziemię.

— A no, — szepnął po chwili — powiedział mi: „Wkrótce zobaczysz“; a ja odpowiedziałem mu: „I ty niezadługo zobaczysz“. A no, to są szpony Tahiego.

Przed Gubcem płakała Jania, a na ławeczce pod orzechem siedział stary Jurko ze zwieszoną głową. Jania przyciskając piersi rękoma, szlochała głośno, i gęste łzy

płynęły z opuchniętych ocz po jej licach. Potem rzucawszy się na ziemię, czepiła się rozpaczliwie kolan Gubca i zawołała łkając:

— Zaklinam Was na żywego Boga, pomóżcie, kmotrze Macieju. Jeżeli Wy nie pomożecie, nie pomoże nawet anioł z nieba.

— Uspokój się, Janiu — rzekł Gubec, kładąc rękę na głowę dziewczęcia, i dwie wielkie łzy stoczyły mu się po twarzy. — Spróbuję jeszcze raz.

I Maciej Gubec poszedł drugi raz na zamek, a z nim proboszcz berdowiecki, Iwan Babicz. Na dziedzińcu zamkowym gotowała juki konnica, bo jeszcze téj nocy miał Tahi wyruszyć do Węgier. Pan susjedgrodzki przyjął ich. Najprzód przemawiał do niego Gubec, a potem ksiądz, prosząc go na miłość Boga, ażeby wypuścił Jerzego. Tahi odpowiedział spokojnie:

— Dziwię się wam, że szukacie Jerzego u mnie, zamiast cobym ja miał go szukać u was. Rozzłościłem się był na ciebie mocno, Macieju, ale potem rozważyłem wszystko dokładnie. To prawda; Jerzy jest wolnym kmieciem i wziąć go nie mogę. Na moim zamku go nie ma. Niech się żeni kiedy chce. Bądźcie zdrowi!

Gubec i proboszcz wracali do Berdowic z bolem w sercu. Czy tylko nie zełgał Tahi? pytał Gubec sam siebie. Zaiste zełgał! W téj chwili przechodził koło nich Andrzej Horwat, wygnany sługa Heningowój.

— Andrzej! — zawołał nań Gubec. — Powiem ci coś: Téj nocy odjeżdża Tahi ze swoim oddziałem do Węgier.

— To i cóż? — zapytał Andrzej.

— Pobiegnij co tchu pod Susjed. Ukryj się gdzie w krzakach przy drodze, którą będzie musiał przejeżdżać oddział Tahiego.

— A to naco?

— Chcesz się zemścić na Tahim?

— Och, i jak jeszcze! — zasyczał Andrzej.

— Dobrze. Zrób więc, jak ci mówiłem, a gdy tamtędy przejeżdżać będzie wojsko, krzyknij z lasu, ile ci głosu starczy: „Jerzy Mogaicz, Jania cię woła!“ i słuchaj dobrze, czy się kto odezwie. Potem wypytaj się, ile zbrojnych ludzi zostało na zamku, i donieś nam to rychło. Mnie znajdziesz u Ili Grzegorzycy.

Andrzej patrzył przez chwilę z otwartymi ustami na Gubca, potem kiwnął prędko głową, jak gdyby wszystko już zrozumiał, i popędził natychmiast ku Zaprzaszycom. Gubec pożegnał proboszcza i udał się do chaty kmotra Ili.

Powoli upływały godziny nocne, a Gubec i Ili rozmawiali pocichu, siedząc za stołem. Dzieci spały już dawno. Już jedno łuczywo dopalało się, i Katarzyna, przecierając zaspane oczy, zatykała u belka drugie. Wtem zaszczał pies, włościanie podnieśli głowy, poczem wnet zapukał ktoś do okna. Katarzyna otworzyła, a do izby wszedł Andrzej, zaproszony, zziązany, i padł jak kamień na ławkę. Pot sączył mu się z czoła.

— Mów! — zawołał Maciej, podnosząc się napół za stołem.

— Najprzód dajcie mi wina! — wykrztusił Andrzej, i pochwywszy dzban, wychylił go do dna. — No; — rzekł potem odetchnawszy głęboko — chwala Bogu, że jestem już tu. Posłuchajcie tedy! Przyszedłem do Iwanic;

potem zboczyłem z drogi i puściłem się przez górę. Musiałem przedzierać się przez krzaki i ciernie; patrzcie na moje ręce. Wreszcie dowlokłem się na drugą stronę góry nad samą drogę, wiodącą do Zagrzebia. Jest ona dość przykra, a las gęsty. Po przeciwniej stronie czernił się susjedzki zamek z błyszczącymi oknami, jak przyczajony czarny kocur z ognistymi ślepiami. Na dole we wsi gorzały ogniska, a koło nich uwijali się wojaacy na koniach. Dobrze słyszałem, jak wykrzykiwali i kleli, i jak szable ich brzęczały. Wylazłem na stary, silny buk. Tam leżałem na gałęziach na brzuchu, jak kot, gdy czatuje na wróbla. Naraz ozwała się trąba na zamku, a za nią dziesięć trąb ze wsi. Jeźdźcy stanęli do szeregu, włócznic i szable zabłysły w świetle księżyca. Brama się otworzyła, jeźdźcy wyruszyli. Zprzodu jechał barczysty jeździec w dużym kołpaku. To był Tah! Za nim ciągnęła reszta uzbrojonych jeźdźców, ale mieli między sobą także pieszych, bez broni, których prowadzili na konopnych powrozach. To są nasi chłopcy, których Tah gwałtownie zabrał... Uh, gardło mię piecze! Dajcie wina!

— Pij, a mów dalej! — zawołał Gubec z wytrzeszczonymi na Andrzeja oczyma.

— Teraz — mówił dalej Andrzej, pokrzepiwszy się i mlasnąwszy językiem — skrecił oddział na drogę do Zagrzebia. Już przechodził koło mnie. Skuliłem się pomiędzy gałęziami i krzyknąłem: „Jerzy Mogaicz, Jania cię woła!“... Natychmiast ozwał się z drogi żałośny głos: „Janiu, moja Janiu!“, i jeden z pieszych padł na ziemię.

— Ha! — zawołał Gubec, uderzając gniewnie pięścią o stół — to był mój Jerzy!

— Nie wiem, kto to był; — odpowiedział Andrzej — ale widziałem, jak tego człowieka pochwycili i wsadzili na konia. Kilka strzałów dano do mnie. Kulki, Bogu dzięki, nie poczułem żadnej, słyszałem tylko, jak huk strzałów między wzgórzami się odbijał. Wreszcie pociągnął oddział dalej i wszystko ucichło. Potem zeszedłem do wsi i dowiedziałem się, że na zamku pozostało około sześćdziesięciu uzbrojonych ludzi i kilka armat... Teraz jestem tu. I to jest twoja zemsta, Gubcze?!

— Słyszałeś kmotrze Ilio? — zawołał Gubec, zaciskając pięści. — To był mój Jerzy! Jak psa poprowadzili go zboje! A krwiożerczy Tah i mówił, że go nie ma na zamku. To magnat powiedział, to szlachcic zelgał!

Ilia Grzegorzyc odpowiedział spokojnie:

— Nie złość się, kmotrze Macieju. Teraz wiemy na pewno, co jest i co czynić mamy.

— Ha, no — rzekł Gubec poważnie — zacznijmy działać w imię Boże!... Andrzeju, powiedz Iwanowi Sabowi, że jutro przyjdę do Stubicy. Ty, Ilio, znasz swoich ludzi; zajdź do Zaprzeszyc, Stupnika, Stenjewiec i Tergowiny. Ja przyłożę rękę do tego dzieła, a ty Andrzeju, pójdziesz do Mokrzyca i powiesz panu Szczepanowi, że za ośm dni będzie pełnia, i że o pełni zabłysną kosy i motyki.

Tak zarządził Gubec. Ilia i Andrzej zgodzili się na to. Poczem kmotra Katarzyna zaprowadziła Gubca na spoczynek, życząc mu „dobrej nocy.“

\* \* \*



Minęło ośm dni. Tahi był już zapewne w Węgrzech. W całej okolicy cicho, nigdzie nie słyhać z ust włościańskich przeciwnego słowa. Wszystko taksamo jest, jak zwykle bywało, wszystko milczy jak nieme. „Psy stały się barankami“ — mówił żartem Piotr Bośniak do Piotra Petryczewicza, kasztelana susjedzkiego.

Wieś pod zamkiem jakby wymarła; wszystko spało. I na zamku wszystko usnęło, prócz stróża nocnego i pani Heleny. Żona Tahiego siedziała za stołem w małym pokoiku, niebieskimi makatami ozdobionym. Na stole paliła się lampa, a blask jój dziwnie się migotał na starodawnym portrecie Dory Arlandowój.

Odziana w długą białą suknię, siedziała pani Tahowa blada z głową opartą na dłoni. Czarne jój oczy błędziły po książce pięknie malowanój, która leżała przed nią. Pani Helena odmawiała wieczorną modlitwę śród ciszy nocnej. Wtem huknęła armata. Pani zerwała się i zbladła jeszcze bardziej. We wsi zajęczał dzwon Śgo. Marcina, poczem dał się słyszeć straszny krzyk, szczęk i łomot. Helena zaczęła drżeć i przestraszona pobiegła do okna.

— Biada! — krzyknęła.

Straszny widok przedstawił się jój oczom w księżycowym blasku. Całe wzgórze susjedzkie było nabite włóczniami, kosami, strzelbami. Łoskot i wrzawa rozlegały się śród ciemnej nocy. Wtém wpadł do pokoiku na pół ubrany syn Heleny, Gabryel.

— Matko! — zajęczał rozpaczliwie — już po nas. Chłopi uderzyli na zamek.

— Niech uderzają! — krzyknęła gniewnie Helena, a oczy jej zaiskrzyły się. — Będziemy się bronić!

— Daremnie; — odpowiedział młodzieniec — już walał siekierami w bramę zamkową, a po drabinach wlażał na mur.

— Niech miotają bomby na tych psów!

— I to nic nie pomoże. Już to robią Petryczewicz i Piotr Bośniak. Kula padnie pomiędzy lud, dziesięciu ich się powali, ale stu ich ponawia szturm.

Mocniej zajączkał dzwon, mocniej zahuczał lud; słychać nieustające strzelanie z rusznic, niekiedy tylko zagrzmi strzał armatni. Wtém powaliło się coś całym swym ciężarem, i okropny krzyk wzniósł się aż pod niebiosa. Wy-sadzono bramę, i tłumy włościan waliły się nią jak burza na zamek.

Błądy, zakrwawiony wpadł Petryczewicz do pokoiku.

— Ratujcie się, na Boga, miłościwa pani! Chłopi pozabijali naszych strażników. Iwan Guszyc prowadzi buntowników. Bośniak raniony; dowódcy strażników, Bartakowiczowi, rozplatali głowę, a na wieży powiewa już chorągiew Urszuli Heningowej. Ratujcie się!

— Ani się ruszę! — zawołała Helena trzęsąc się ze złości, ale hardo. — Niech przyjdą! Ty, synu, i wy, Petryczewiczu, zostańcie tu!

Umilkł hałas, umilkł dzwon; gdzieniegdzie tylko huknął strzał, gdzieniegdzie krzyk się rozległ, ale tłumy ludu płynęły jak fale morza. Wreszcie przybliżył się szum, drzwi się otworzyły, ale na progu zastąpił drogę zwyciężkim włościanom jeszcze jeden strażnik z siekierą w ręku, którą z całej siły machał dokoła. Jeden, dwóch,

trzech, dziesięciu włościan padło od jęj ciosów, ale wkońcu strzelił któryś z pistoletu, i wierny obrońca padł martwy u nóg swęj pani. Helena, drżąc z przerażenia, chwyciła się muru.

— Niech ginie Tahi! — wykrzykiwano po kurytarzach zamkowych, i do pokoiku wpadł zastęć rozognionych włościan.

— Stójcie! — krzyknęła na cały głos pani.

Włościanie ucisz yli się, a wtęm przedarł się z pośród nich naprzód rozplomieniony Szczępan Gregoryaniec z zakrwawioną szablą i odkrytą głową, a za nim pani Urszula również pałająca gniewem. Siwe oczy jęj błyszczaly jak, błędne ogniiki, lica płonęły, a usta ściągaly się kurczowo.

— Pani Heleno Tahowa! — ozwał się spiesźnie Szczępan, ocierając szablę o kabat — wprowadziliśmy na ten zamek prawą właścicielkę, Urszulę Heningową. Wasze gospodarstwo już się tu skończyło.

— A no, dumna córko Zrinskyego! — zawoła Urszula — przydeptaliśmy głowę jadowitęj żmiji. Czcięgodna ta siedziba jest już znowu moją. Witam cię, Doro Arlandowa! — dodała obracając się ku portretowi — widzisz teraz, że podanie kłamię. A wy dobrzy ludzie, — skinęła ręką ku włościanom — bierzcie a bierzcie, co kto może, ja nie chcę ani źdźbła z tego krwawego bogactwa!

Helena strętwiała, tylko oczy jęj pałaly wściekłością.

— Pani, — dodał Szczępan — prawi gospodarze przyszli, a nieprawi muszą się wynosić. Petryczewicz może swobodnie odwieść Was i wasze dzieci do Zagrzebia, bo Stubica jest już także nasza. We wsi czeka wóz na was.

Helena podniosła głowę i odrzekła spokojnie:

— Pani Urszulo! Zbójczyni! Nie zapomnę Wam tego do grobu. Nie kłamie podanie o Dorze. Pamiętajcie sobie moje słowa: „Ząb za ząb, krew za krew do ostatniej kropli!

Potem chwyciwszy syna za rękę, opuściła z kasztelanem zamek, gdzie wykrzykujące nieustannie pijane chłopstwo dzieliło się bogactwem i mieniem Tahów. Upokorzona Helena była już daleko od Susjedu, a jeszcze ciągle brzmiał jój w uszach ów złowrogi okrzyk: „Niech ginie Tah!”

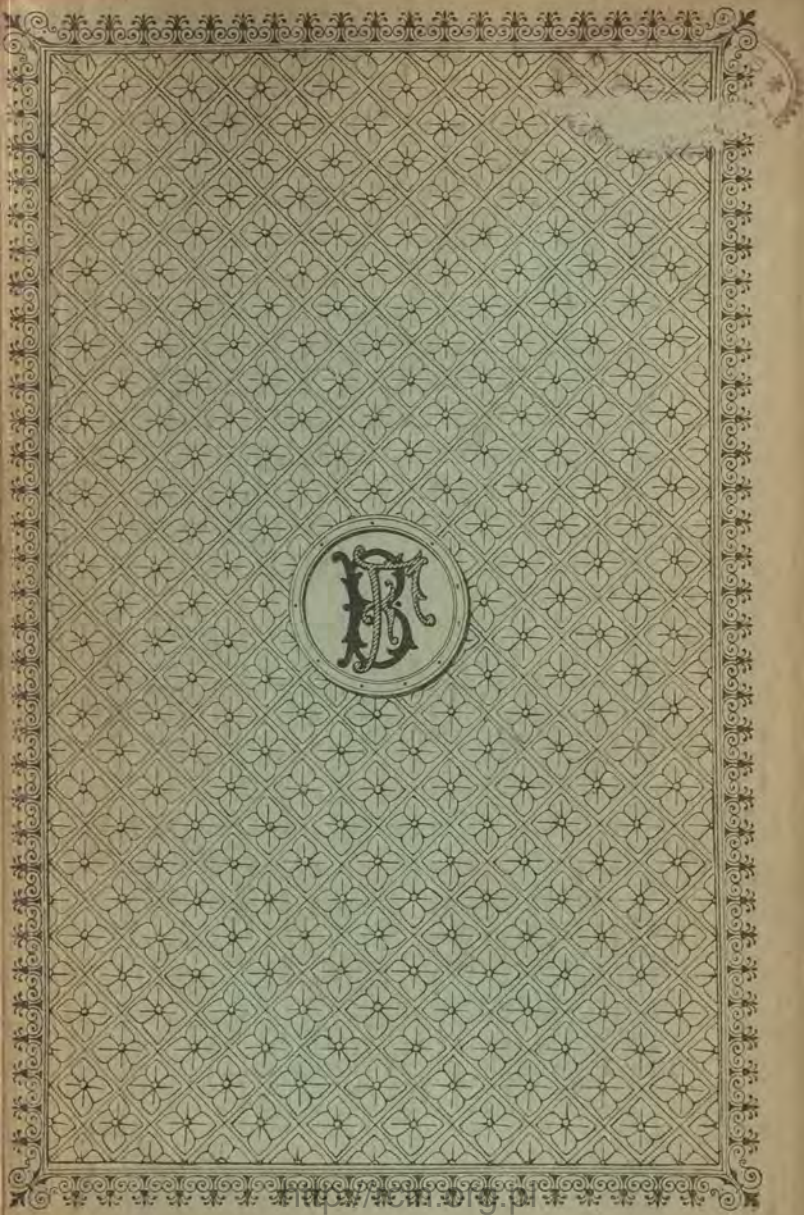
Koniec części pierwszój.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63







F

15.699/1